

ZESZYT STO SZESNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

**INSTYTUT
PARYŻ**



LITERACKI

1996

ZESZYT STO SZESNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1996

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 494

ISSN 0406-0393
ISBN 83-86907-06-1

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103

WSPOMNIENIA

Nika KŁOSOWSKA-WOHLMAN

DWA LATA WIĘZIENIA

Ten fragment wspomnień obejmuje okres od 24 grudnia 1939 r. do 25 grudnia 1941 r., to jest od dnia mego aresztowania w Słonimie przez NKWD do dnia zwolnienia z sowieckiego łagru w Kazachstanie. Jak jest to widoczne z tekstu, był on napisany przed 1991 r., gdy jeszcze istniał ZSSR.

Wspomnienia obejmujące okres przedwojenny, włącznie z praktyką dyplomatyczną w Ambasadzie R.P. w Moskwie, o której jest tu mowa, znajdzie czytelnik w nr 103 (1993) Zeszytów Historycznych („Fragmenty wspomnień”, s. 155-170).

Okres od odzyskania wolności do końca wojny opisałam w nr 107 (1994) ZH („Wojna i druga miłość”, s. 48-68).



Tego właśnie dnia, w Wigilię Bożego Narodzenia 1939 r., po raz pierwszy od wkroczenia wojsk sowieckich do

Polski nie myślałam wcale o niechybnym aresztowaniu. Byłam na to już od tak dawna przygotowana, od tak dawna pozamykano już prawie wszystkich moich bliższych i dalszych znajomych. To było nieuniknione. Wprawdzie matka moja i dzieci dotąd nie chciały pogodzić się z tą myślą – ja nie miałam złudzeń. Nie mieliśmy również żadnych możliwości ucieczki całą rodziną; przejście granicy z dwojgiem dzieci i dwoma staruszkami, zwłaszcza w zimie – skoro się tego nie zrobiło wcześniej, było zupełnie niewykonalne. Pozostawało więc jedynie siedzenie w miasteczku i dalsza praca w byłym liceum państwowym przekształconym teraz na sowiecką dziesięciolatkę, no i spokojne czekanie na uwięzienie.

Ale w dzień Wigilii nie myślałam o tym zupełnie. Poprzedniego wieczoru właśnie przyjechał kolega mój, Witold, który przeszedł granicę sowiecko-litewską z Wilna i przez cały dzień namawiał mnie, żebym pozostawiła na miejscu matkę i ciotkę, i zabierając dzieci usiłowała dostać się razem z nim do Wilna. Nie chciałam się na to zgodzić twierdząc, że nie mogę zostawić dwu starych kobiet bez żadnej opieki i bez środków do życia. „Ale przecież jak w końcu doczekasz się aresztowania, to i tak będziesz musiała całą rodzinę zostawić bez żadnej opieki” powiedział mi wreszcie zniecierpliwiony; „No dobrze – odpowiedziałam – jeszcze pomówimy o wszystkim, ale dziś Wigilia, zdecydujemy jutro”.

Ubieraliśmy więc choinkę, którą zaspane dzieci przyciągnęły z odległego o 4 km lasu. Zabawek i ozdób było dużo, pozostały z poprzednich lat, ale świeczek udało się zdobyć tylko 12, zamiast 48. „Może to ostatnia nasza choinka – powiedziałam dzieciom – i taka ciemna i smutna”.

Przez cały ten dzień było mnóstwo roboty i kłopotów. Trzeba było kupić coś lepszego do zjedzenia, stać bez końca w kolejce po chleb i mięso. Służąca dawno uciekła, kradnąc co lepszą bieliznę, musiałam więc zrobić wszystko sama. Rano miałam jeszcze lekcje w szkole, a potem sprzątanie, gotowanie, ubieranie drzewka. Wreszcie wczesnym wieczorem zasiedliśmy do Wilii. Żadne życzenia nie chciały nikomu przejść przez gardło.

Odetchnęliśmy z ulgą, gdy wieczerza się skończyła i wszyscy poszli wcześniej spać. Nawet na choinkę nikomu się

nie chciało patrzeć, taka była smutna z tymi dwunastu świeczkami.

Zwykle co nocy budziłam się około pierwszej nad ranem, wtedy właśnie, gdy ulicami uśpionego miasteczka gnały auta NKWD zabierając z domów aresztowanych. Nadśłuchiwałam tego huku myśląc, czy miną mnie jeszcze tym razem – czy też samochód zatrzyma się przed moim domem. Co noc jednak przelatywały gdzieś dalej i gdy szum motorów ucichał, zasypiałam z myślą: „więc to jeszcze nie dziś, mam 24 godziny spokoju”. Nigdy bowiem nie zabierano ludzi za dnia.

Poprzedniej nocy, gdy właśnie zasnąłam ponownie, męczyła mnie obrzydliwa zмора. Śniło mi się, że jestem u swoich krewnych, na wsi i stoję na dużym trawniku przed domem. Las, który w rzeczywistości był daleko, w moim śnie podchodził blisko pod trawnik. Był słoneczny, letni ranek. Nagle z lasu wybiegły cztery olbrzymie wilki i jeden z nich, największy, rzucił mi się do gardła. Złapałam go ręką za szyję, wsadzając mu drugą do paszczy, myśląc gorączkowo, że w ten sposób nie zdoła mnie zagryźć. Równocześnie jednak przez cały czas miałam świadomość, że walka jest beznadziejna, bo lada chwila rzucą się na mnie pozostałe trzy i rozszarpią mnie.

W końcu obudziły mnie moje własne jęki i do rana już nie mogłam zasnąć.

Tym mocniej spałam w nocy. Nie słyszałam też nic aż do chwili kiedy obudziło mnie stukanie do drzwi wejściowych. Matka moja zbudziła się również. Narzuciłam coś na siebie i otworzyłam drzwi. Czterech uzbrojonych po zęby enkawudystów stało na progu.

„Otwierać – rewizja”. Weszli.

Pierwszą moją myślą było, że przyszli po Witolda, że ktoś doniósł o jego nielegalnym przyjeździe. Po chwili jednak zorientowałam się, że chodzi o mnie, nie o niego i ciężar spadł mi z serca.

„A to kto?” – zobaczywszy go spytał dowódca grupy. „Brat”. „Skąd przyjechał?” „Z sąsiedniego miasteczka na święta”. Nie interesowali się nim więcej. Rozpoczęły natomiast przetrząsanie wszystkich rzeczy oraz zadawanie pytań.

„Mąż wasz, ten oficer gdzie jest?”

„Nie wiem, poszedł na front we wrześniu i nie wrócił.

Może zginął, może jest w niewoli niemieckiej”.

„Gdzie broń? Mamy dokładne wiadomości, że tu jest schowana broń”.

„Szukajcie dalej, może rzeczywiście jakąś armatę znajdziecie”.

Tak minęła pierwsza godzina, druga i trzecia. Matka moja uspokoiła się trochę. Przecież nie mogą nic znaleźć, bo nic nie ma, więc gdy skończą, to zostawią nas w spokoju i pójdą sobie. Staruszka ciotka i dzieci – dziewięć- i dziesięcioletnie nie zdawały sobie w ogóle sprawy z sytuacji. Ja i Witold nie mieliśmy złudzeń. Rozmawiać nam nie pozwolono. Nie miał złudzeń także i pies. Sześciomiesięczny szczeniak, seter irlandzki, który jeszcze w życiu na nikogo nie warknął, siedział cały czas ze zjezoną sierścią pod stołem. Oczy błyszczały mu w ciemności czerwono, warczał bez przerwy na oglądających się trwożliwie, mimo całego bojowego ekwipunku „bojcow”.

Z tych długich nocnych godzin nie zostało mi w pamięci prawie nic. Urywki zdań, fragmenty spojrzeń, drżące ręce matki, zalana łzami twarzyczka córki, blada twarz chowającego się pod kołdrą młodszego od niej chłopca, przerażone pytania ciotki, gdy mnie zabierano. „Co to? Za co? Czego chcą od ciebie?” I wreszcie zdławiony głos Witolda. „Dzieci zabrać, czy zostawić na miejscu?”

Zdażyłam odpowiedzieć: „Zabierz. Zaraz”. „Nie rozmawiać po polsku. Ile razy mam powtarzać” – ryknął dowodzący enkawudysta.

Wreszcie kazano mi podpisać protokół rewizji, nakaz aresztowania i zabierając każdy znaleziony w domu dokument, od metryki urodzenia aż do dyplomu uniwersyteckiego, wyprowadzono mnie. Chciałam już właściwie tylko tego jednego, żeby już prędzej.

Poprowadzono mnie na piechotę do gmachu, który kiedyś był sądem polskim, a w którym teraz urzędowało miejscowe NKWD. To dlatego nie słyszałam żadnego motoru. Była czwarta rano. Po długim czekaniu wprowadzono mnie przed mego sędziego śledczego „lewtenanta” Kuzmienkę; siedząc przed nim na brzeжку krzesła w świetle trzech reflektorów rozmyślałam jaka to przecież ulga, że już się stało,

że już nie potrzebuję na nic czekać i bać się, obliczać i kombinować jak zabezpieczyć rodzinę, nasłuchiwać co noc... Już jest po wszystkim i już nie ma o co się troszczyć.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie ryk mego sędziego:

„A coż to za mina? Co to, salon burżuazyjny? Jesteście w CZEKA NKWD: my tu z wami prędko porządek zrobimy. Wstać”.

„CZEKA przecież podobno od dawna nie istnieje – odpowiedziałam wstając z ziewnięciem – według waszych własnych enuncjacji zlikwidowaliście tę wspaniałą instytucję przed dziesięcioma laty”. „Milczeć. Nie dyskutować. Dość tego. Zabrać ją do więzienia – rzucił do stojących obok dwóch żołnierzy – do osobnej celi”.

Tym razem wsadzono mnie do samochodu. Jechaliśmy przez zasypane śniegiem, pogrążone jeszcze we śnie miasteczko. Wreszcie stanęliśmy przed więzieniem. Otworzono ciężką bramę, wprowadzono mnie do środka. Wilgotne korytarze, szeregi drzwi, straż chodząca w tył i w przód, specyficzny zaduch... Po dłuższym oczekiwaniu wepchnięto mnie wreszcie do jakiejś celi i od razu wraz z falą ciepłego, stęchłego powietrza uderzył mnie gwar głosów. W malutkiej celce siedziało już osiem kobiet, wśród nich parę znajomych. Okazało się, że więzienie było tak przepełnione, że po prostu nie było żadnej pustej celi. Życzeniu sędziego Kuzmienki nie mogło się stać zadość.

Moje towarzyszki niedoli siedziały tu już od paru tygodni nie tracąc jednak zupełnie nadziei, że lada dzień wyjdą na wolność, zwłaszcza, że zamknięto je za tak zwane przekroczenie granicy, gdy po ustaniu działań wojennych wracały z zachodniej części Polski do swych rodzin w miasteczku. Za nic nie mogła im się pomieścić w głowach ta nagle powstała „granica”. Rozumowały, że jeżeli nawet to teraz stanowi wykroczenie w pojęciu władz sowieckich – to przecież wszyscy doskonale wiedzą, że wojna porozdzielała rodziny, które dotąd się szukają po całym kraju. Jakże więc można uważać to za jakieś przestępstwo? Nonsens. To może najwyżej być karane administracyjnie.

Słuchałam tych rozważań z całą świadomością ich beznadziejnej „burżuazyjnej” naiwności. Skądże właściwie te

pocziwe, „kumoszkowate” niewiasty z kresowego miasteczka mogły dojść do przekonania, że przejście granicy w ZSSR jest równoznaczne ze szpiegostwem i najmniejsza kara przewidziana za tę zbrodnię wynosi trzy lata więzienia, a najwyższa – „likwidacja szkodliwej jednostki” – to znaczy mówiąc dokładnie, strzał w tył głowy? (Wymiar kary zależy od uznania sowieckiej komisji, złożonej z trzech osób i sądującej zaocznie).

Niestety zbyt dobrze znałam rzeczywistość i prawo sowieckie ze swych studiów w Szkole Nauk Politycznych i pobytu przed czterema laty w ZSSR na praktyce dyplomatycznej, aby mieć tego rodzaju przyjemne złudzenia, ale mówić o tym nie było warto. Każdy i tak dość wcześnie się wszystkich złudzeń pozbędzie. W samą porę przypominałam sobie, że Matka w ostatniej chwili dała mi kawałek upieczonej w domu bułki. „Zjedzcie – powiedziałam – przecież to pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia”.

Jakże smakowała ta bułka wygłodniałym już bardzo biedaczkom. Ja nie mogłam jeść i wydawało mi się, że już nigdy nic przełknąć nie potrafię, ale czas pokazał jak się myliłam i co znaczy prawdziwy głód, który sprawia, że jedyną myślą człowieka staje się marzenie o jedzeniu. Ale to był dopiero pierwszy dzień z dwóch pełnych lat w więzieniach i obozach sowieckich, które przeżyć w ten sposób wypadło.

Czarne dni

Kiedyś spotkałam pozornie paradoksalne twierdzenie, że czas najszybciej mija w więzieniu. Okazało się, że jest to absolutna prawda. Człowiek się przyzwyczaja do wszystkiego. Po jakimś czasie tępieje rozpacz, tęsknota, żal, nawet strach i czas w ogóle przestaje istnieć. Każdy dzień jest zupełnie taki sam i pory roku rozpoznaje się tylko po tym, że na tak zwanym spacerze trwającym dwadzieścia minut, na który wyprowadza się więźniów na ciasne więzienne podwórze, zamknięte między kilkupiętrowymi, ślepych murami, zaczyna być powoli coraz cieplej lub coraz zimniej. Na tym spacerze widzi się kwadrat więziennego nieba nad sobą. Poza tą chwilą

nie widzi się nic prócz czterech ścian celi, której okno jest zasłonięte i światło pali się dzień i noc, bez przerwy. Codziennie jest tak samo: pobudka o czwartej rano, wstawanie, wynoszenie „paraszy”, wyprowadzanie do umywalni przez strażników, powrót, sprzątanie celi, śniadanie złożone z wyciągu z marchwi, zamiast herbaty oraz kawałka chleba. Po paru godzinach obiad: więzienna zupa, prawie zawsze wodnisty kapuśniak oraz gruba kasza i o piątej wieczorem kolacja – ta sama kasza, bez zupy, lub bardzo rzadko – ciemny makaron. I tak dzień za dniem. Jediną rozmaitość stanowi wspomniany spacer, który odbywa się co parę dni, i przybycie kogoś nowego do celi.

Ale pierwsze dni, tygodnie i miesiące są czymś odmiennym. Po pierwszym szoku i oszołomieniu zaczyna się koszmar sowieckiego śledztwa. Badania z reguły odbywają się wyłącznie w nocy i trwają od kilku do kilkudziesięciu godzin, przy czym sędziowie zmieniają się kilkakrotnie. Więzień siedzi na krześle, a nierzadko stoi przez cały czas. Metody badań – od uprzejmych pytań aż do wszelkiego rodzaju tortur, są stosowane zależnie od uznania sędziego i rzekomej ważności danego więźnia. Swego czasu bardzo wiele się czytało i słyszało o sposobach badań stosowanych przez osławioną instytucję CZEKA, a w roku 1939 noszącą nazwę NKWD. Większe niespodzianki wydawały się prawie niemożliwe. Inna to jednak rzecz czytanie, a inna – doznawanie tych emocji na własnej skórze, kiedy widzi się praktycznie beznadziejność całej sytuacji i nieunikniony tego rezultat.

Mój sędzia Kuzmienko wzywał mnie do siebie co drugą noc. Sadzał mnie nieodmiennie przed sobą w świetle trzech reflektorów i rozpoczynał zadawanie pytań przerywane kwiecistymi wymysłami. Miał przy sobie dwóch pomocników.

Ze śledztwa wynikało, że aresztowano mnie na podstawie meldunków złożonych przez dwoje moich uczniów (Żyda i Białorusinkę), którzy oskarżyli mnie o szerzenie antysowieckich nastrojów w szkole i propolską propagandę. W rzeczywistości jednak oskarżenia te były tylko pretekstem, gdyż właściwy powód mego aresztowania tkwił zupełnie gdzie indziej. Chodziło o moją praktykę w Ambasadzie Polskiej w Moskwie w 1935 roku. Fakt ten był dobrze znany miejsco-

wym władzom NKWD i wystarczał w zupełności, aby oskarżyć mnie o szpiegostwo na rzecz Polski w owych latach.

Licząc się w ciągu trzech miesięcy nie tylko z możliwością, ale wręcz z nieuchronną koniecznością aresztowania, nie wiadomo czemu ani razu nie pomyślałam o tym, że przecież ta sprawa musi wypłynąć i stanowić będzie trzon każdego przeciwko mnie oskarżenia. Teraz za to mogłam do woli rozmyślać nad własną tępotą, zupełnie niezrozumiałą u kogoś, kto zagadnienia sowieckie znał i teoretycznie, i praktycznie. Każdy pracownik dyplomatyczny każdego państwa jest uważany przez władze sowieckie za szpiega. Z chwilą, kiedy nie chroni go żadne prawo i dostaje się w ręce NKWD – los jego jest z góry przesądzony.

Ponieważ jednak nie miałam najmniejszego zamiaru przyznać się do zarzucanego mi szpiegostwa, wiedziałam doskonale, że zaczną mnie w końcu bić i chciałam, aby to już wreszcie nastąpiło, bo najgorsze we wszystkim jest czekanie. Postanowiłam więc jakoś sprowokować mego Kuzmienkę. Dotąd był jeszcze wciąż bardzo „delikatny” nazywając mnie „polską prostytutką”, „szpikiem”, „faszystowską gadziną” itp. W ciągu wielogodzinnych przesłuchań usadawiał się naprzeciwko mnie, w dość znacznej odległości i ćwiczył się w pluciu w moją stronę. Za każdym razem poprawiał swój rekord i wydawało mi się, że lada dzień dosięgnie mojej twarzy. Wolałam już spróbować bardziej brutalnych metod. Toteż któreś nocy na wytworny zwrot Kuzmienki – „widzę, ty polskie ścierwo, z jaką pogardą i nienawiścią patrzysz na władzę sowiecką i na mnie”, odpowiedziałam, że wcale się nie myli, bo jest doskonałym przedstawicielem swojego państwa i swojej władzy.

To wystarczyło. Pomocnicy mojego sędziego okazali się fachowcami wysokiej klasy, o ile mogłam ocenić, zanim straciłam przytomność.

Nie wiem jak długo wytrzymałabym te nowe metody śledztwa, ale przypuszczam, że wkrótce przyznałabym się do wszelkich, nawet najmniej prawdopodobnych zarzucanych mi zbrodni gdyby nie to, że główny urząd NKWD kazał mnie odstawić do Moskwy, jako ważnego szpiega polskiego.

Wobec tego po dwóch dniach kazano mi się zwlec z

więziennego barłogu i załadowano pod eskortą dwóch enkawudystów do pociągu jadącego w głąb Rosji. Z tej 36-cio godzinnej podróży pozostały mi tylko bardzo niejasne wspomnienia. Był luty i wszędzie leżał głęboki śnieg. Pociąg mijał dawną granicę polsko-sowiecką i z okien wagonu mogłam widzieć wierzchołki drzew ogrodu w Zarzeczu, a nawet dom, gdzie mieszkali moi krewni. Przez chwilę myślałam o próbie ucieczki, ale powstrzymała mnie nie tylko słabość sił, ale i myśl o konsekwencjach, na jakie mogłabym narazić moją rodzinę. Byłam już chora i coraz trudniej zdawałam sobie sprawę z rzeczywistości. Straż obchodziła się ze mną dobrze i nikt w pociągu nie zdawał sobie sprawy z tego, że jestem aresztowana. Przypadkowo oficer, który mnie konwojował mieszkał poprzednio w części mego mieszkania zarekwirowanej przez władze sowieckie.

Przyjechaliśmy późnym wieczorem na dworzec w Moskwie i czekali długo na przyjazd karetki więziennej. Oglądałam salę stacyjną, którą pamiętałam dobrze z poprzedniej bytności w ZSSR. Nic się nie zmieniło – te same, sztuczne zakurzone palmy, nieświeże obrusy na stołach, ta sama szara publiczność, mężczyźni w „walonkach”, kobiety w chustkach na głowach, czekający cierpliwie długie godziny na pociąg.

Naprzeciw mnie siedział jakiś Europejczyk w kapeluszu i futrze, i patrzył na mnie uważnie, może się czegoś domyślał widząc towarzyszących mi wojskowych.

Dotąd pamiętam uczucie rozpaczliwej bezsilności z jakim patrzyłam na tego wolnego człowieka z jakiegoś wolnego kraju. Ci inni, to byli tacy sami, jak ja niewolnicy – w złagodzonej formie.

Wreszcie zajechał samochód więzienny zwany powszechnie w ZSSR „czarnym krukiem”. Wpakowano mnie do ciasnej klatki; cały samochód był podzielony na rodzaje szafek na ludzi i ruszyliśmy. Pomyślałam sobie, że być może ta sama maszyna woziła na śledztwa np. Bucharina czy Tuchaczewskiego i nagle śmiać mi się zachciało z mojej własnej ważności. Po dziesięciu minutach samochód stanął przed więzienną bramą. Poznałam, gdzie jestem. Była to słynna Łubianka. Znałam ten dziesięciopiętrowy gmach z widzenia dobrze i zdawałam sobie sprawę z jego przeznaczenia z czasów mego

pobytu w Moskwie. Jest położony w centrum miasta i co niedzielę przejeżdżało się koło niego po drodze do istniejącego jeszcze wówczas w Moskwie kościoła francuskiego. Nigdy nie mogłam patrzeć na ponurą kamienicę bez wewnętrznego dreszczu, choć trudno było wówczas przewidzieć, że i ja tu trafię w charakterze więźnia.

Moi konwojenci wprowadzili mnie w głąb gmachu i oddali w ręce straży. Oficer pożegnał się ze mną życząc, aby się wszystko dobrze skończyło. Jeszcze w czasie drogi ubłagałam go, żeby zawiadomił moją matkę o wywiezieniu mnie. Nie pozwolono mi bowiem napisać ani słowa, ani zobaczyć nikogo z mojej rodziny.

Po szczegółowej i fachowej rewizji każdego skrawka w moim więziennym węzłku i całej mojej osoby, zaprowadzono mnie do jakiejś pojedynczej celi i pozostawiono w spokoju w ciągu 48 godzin. Męczyła mnie gorączka i pragnienie. Po dwóch dniach poddano mnie ponownie rewizji, przewieziono windą na jakieś inne piętro i wprowadzono do innej celi, gdzie znajdowały się już cztery kobiety.

Ucieszył mnie widok ludzkich twarzy – ciągle bałam się, że będę cały czas sama. Wszystkie moje towarzyszki były rosyjskimi Żydówkami, żonami wybitnych komunistów i siedziały „za mężów”. Znaczyło to, że mężowie ich oskarżeni o należenie do tak zwanego trockistowsko-bucharinowskiego bloku opozycyjnego zostali rozstrzelani, lub skazani na długoletnie więzienie, one zaś pozostawały od dwóch lat „pod śledztwem”, jako żony wrogów ludu. Wszystkie były i pozostawały nadal gorliwymi komunistkami, co nie uchroniło ich przed niczym.

Te zupełnie na razie niezrozumiałe w europejskim pojęciu rzeczy powyjaśniały mi się z biegiem czasu w należyty sposób, przede wszystkim jednak poinformowały o technicznej organizacji obowiązującej w więzieniu. Okazało się, że według ich zdania miałam niesłychane szczęście trafiając tu właśnie – na Łubiankę, a nie do innego z licznych moskiewskich więzień. Jest to właściwie nie więzienie, ale hotel. Jest się w dobrym towarzystwie, bo nie ma tu przestępców kryminalnych, sami polityczni. Cele są duże. Każda ma łóżko, siennik, koc, a nawet poduszkę z siana.

Łaźnia jest co tydzień. Dostaje się książki do czytania, jedzenie jest o wiele lepsze, niż gdzie indziej. Kto ma pieniądze, może sobie nawet kupić w sklepiku więziennym trochę cukru i papierosów. W innych więzieniach jest pełno robactwa, śpi się na wspólnych narach, razem ze złodziejami i bandytami, a o żadnej pościeli nie ma mowy. One przeszły już kilkanaście więzień, więc mają skalę porównawczą. Łubianka jest więzieniem wzorcowym. Wprawdzie w piwnicach znajdują się karne pomieszczenia, karcery dla nieposłusznych więźniów, którzy odmawiają zeznań, ale o tym lepiej nie mówić. Nikt właściwie nie wie co się tam dzieje, bo z karceru nie wraca się do tej samej celi nigdy: najczęściej wywozi się później delikwentów do Lefortowa, więzienia karnego, zwanego „czarnym więzieniem”. Żadna z nich tam nie była.

Słuchałam tych informacji z rosnącym szumem w głowie i czując się coraz gorzej. Tej samej nocy wezwano mnie na śledztwo. Mój nowy sędzia, bardzo uprzejmy, młody major powiedział mi krótko, że ma nadzieję, że zrezygnuję teraz ze swego niemądrego uporu i opowiem mu wszystko dokładnie o mej działalności szpiegowskiej w czasie mego pobytu w ambasadzie byłego państwa polskiego. Szczere przyznanie się do winy wpłynie bez wątpienia na złagodzenie wymiaru kary, skrucza bowiem znaczy bardzo wiele w ZSSR. Po krótkim przemówieniu kazał odprowadzić mnie do celi.

Tej samej nocy, nad ranem, zemdlałam kilka razy i wezwano lekarza więziennego, który po stwierdzeniu, że mam temperaturę 39.9° i wielkie bóle wewnętrzne kazał przewieźć mnie do szpitala, znajdującego się przy innym więzieniu moskiewskim, tzw. Butyrkach. Trzymano mnie tam bardzo długo w tzw. psiej budzie, czyli klatce na więźnia, zanim wreszcie położono mnie do łóżka w osobnej celi.

W ciągu sześciu tygodni byłam półprzytomna, gdy wywiązało się ogólne zakażenie krwi wskutek pobicia, nie straciłam jednak nigdy świadomości całkowicie. Ciągłe wydawało mi się, że cała moja rodzina jest również w więzieniu, że dzieci mnie wołają, że są głodne i chore. Poddawano mnie jakimś zastrzykom i zabiegom, badano po kilka razy dziennie, nie szczczędzono starań o wyleczenie, nie kryjąc zresztą specjalnie, że nadziei na wyleczenie jest bardzo

niewiele. A jednak któregoś ranka obudziłam się bez bólów i bez gorączki. Spytałam jaki dzień mamy. „Trzeciego maja” – odpowiedziała mi gruba, pocziwa siostra. To znaczy, że od mego przybycia do szpitala minęło przeszło sześć tygodni.

Po dziesięciu dniach wypisano mnie ze szpitala i odesłano z powrotem na Łubiankę. Tym razem miałam siedzieć przeszło 10 miesięcy, ale już z innymi towarzyszkami niedoli.

Śledztwo rozpoczęło się znowu, ale teraz już metody były o wiele subtelniejsze. Nie tylko nie było żadnych rękoczynów, ani plucia, ale nawet nie stosowano żadnych gróźb. Prowadzono ze mną długie, nocne rozmowy o polityce, sztuce i literaturze, ze specjalnym uwzględnieniem mego pobytu w Moskwie i wrażeń, jakie z niego wyniosłam.

Mój sędzia nie był ani głupi, ani niekulturalny. Raz nawet zaimponował mi w sposób zupełnie niespodziewany. Swego czasu, po powrocie z ZSSR do Polski napisałam szereg artykułów o kulturze sowieckiej. Pewnej nocy sędzia wręczył mi je wszystkie w pięknym rosyjskim tłumaczeniu.

„Widzicie, że znam każdy wasz krok i każdą myśl” – oświadczył triumfująco.

„A to szkoda, żeście na to stracili tyle drogiego czasu – powiedziałam mu z głupia frant – mam tyle czasu w więzieniu, że mogłabym to przetłumaczyć sama, gdybym wiedziała, że to was interesuje”.

W przerwach między śledztwami, które stawały się coraz dłuższe, starałam się przewidzieć o co będzie mnie pytał następnym razem i co mam odpowiedzieć. Czasem te przewidywania udawały mi się, a czasem trafiałam kulą w płot. Nikomu jeszcze się to nie udało w stu procentach. Wszystko to jednak zaczynało być coraz bardziej nudne. Weszłam już w okres, kiedy traci się poczucie czasu i rzeczywistości. Zaczęły mnie natomiast coraz bardziej męczyć typowe więzienne sny, które każdy pozbawiony wolności przeżywa. Ciągłe się śni, że wypuszczono z więzienia, ale czasowo i trzeba koniecznie zaraz wrócić, albo też chodzi się po jakichś bezkresnych, kamiennych drogach i nigdy nie można trafić do domu, albo widzi się najbliższych w nędzy wielkiej, matkę dźwigającą ciężkie kubły brudnej wody, dzieci, które się odwracają i nie chcą znać matki. Sny stają się bardziej realne, niż jawa....

W każdym razie stawało się coraz bardziej jasne, że od czasu mojej choroby w metodach śledztwa i w całej polityce NKWD wobec mojej osoby zaszedł jakiś zasadniczy, aczkolwiek zupełnie niezrozumiały zwrot. Nie tknięto mnie nawet palcem, nie grożono mi niczym, wzywano coraz rzadziej i było jasne, że przestałam przedstawiać wypadek dla NKWD interesujący. Zazwyczaj teraz po stereotypowym pytaniu, co słychać u mnie i u moich towarzyszek w celi, i czy nie namyśliłam się wreszcie, żeby się przyznać do zarzucanego mi szpiegostwa – sędzia proponował mi czytanie gazet i rzeczywiście dawał mi *Prawdę* lub *Izwiestia*, a sam zagłębiał się w jakąś inną gazetę. Potem, aby czas prędzej przeszedł, wymienialiśmy wrażenia i informacje, i odsyłał mnie do celi.

Sytuacja stała się zupełnie niesłychana. Gdy przynosiłam do celi wszystkie wiadomości o wojnie, moje towarzyszki nie mogły się nadziwić, z nimi bowiem obchodzono się zupełnie inaczej. Moja sytuacja nie przyczyniła się zupełnie do złagodzenia stosunków, które na początku nie były najlepsze, ponieważ większość z nich (było nas osiem), to były znowu żony aresztowanych dygnitarzy z opozycji antystalinowskiej. Wszystkie one uważały mnie od początku za wroga klasowego, „białopolaczkę”. Do tej klasowej nienawiści dochodziła wcale niemała porcja rosyjskiego szowinizmu. Jedna z nich stale przypominała mi, że Warszawa jest starym, rosyjskim miastem, inna znów pocieszała mnie, że za dwa lata dzieci moje nie będą pamiętały ani słowa po polsku.

Lenin znał dobrze swoich rodaków, gdy twierdził, że wystarczy z lekka poskrobać każdego sowieckiego komunistę, a ukaże się rosyjski szowinista czystej wody. O żadnej solidarności, czy współczuciu nie było mowy. I tak na ich zasługę należy zanotować, że żadna nie była szpiclem. Były uczciwe w swojej nienawiści.

W tym zespole znalazła się również żona autentycznego „białogwardzisty”, czyli jeszcze większy wróg klasowy, niż ja. Wprawdzie oboje dawno chcieli zapomnieć o swoim, przypadkowym zresztą, udziale w tych dziejach, przed dwudziestu paru laty. Do tej pory jakoś udawało się im istnieć, mimo nieustannie wiszącej nad nimi groźby. Właśnie teraz, kiedy

wydawało się, że to wszystko wreszcie jest nieaktualne, że już nic się im nie stanie – zostali oboje aresztowani.

Ponieważ prawo sowieckie nie uznaje przedawnienia, śledztwo toczyło się tak, jakby ta sprawa działa się wczoraj, a nie przed dwudziestu paru laty.

Teraz już, po usłyszeniu niejednej podobnej historii nie byłam tak naiwna, żeby się dziwić. To, przeciwko czemu buntował się zdrowy rozsądek, rzecz nie do pomyślenia w Europie, ażeby kogoś więziono i torturowano za to, że w tamtym zamierzczłym czasie delikwentka zaniósł komuś plik antybolszewickich proklamacji, a mąż jej był sędzią wojskowym po stronie „białych”, obecnie wydawało się rzeczą zupełnie naturalną.

Tak samo nie dziwiłam się już, że inna niewiasta, lekarka siedzi w więzieniu już od 13-tu miesięcy bez żadnego śledztwa, bez badań, zaaresztowana za to, że wśród rzeczy jej męża, z którym *nota bene* przed paru laty się rozwiodła, znaleziono jakieś rzekomo trujące lekarstwa i preparaty, których nie wolno mieć w domu. Groziło jej za to 9 lat więzienia. Oczywiście oskarżono ją dodatkowo o udział w organizacji kontrrewolucyjnej, bo bez tego dodatku jeszcze chyba żadnego aktu oskarżenia NKWD nie sformułowało.

Skład naszej celi prawie się nie zmieniał. Któregoś dnia jednak wprowadzono nową – młodą Tatarkę z Krymu. Oskarżona była o spekulację, która w Rosji Sowieckiej należy do przestępstw politycznych. Twierdziła, że przyjechała do Moskwy, aby kupić dla siebie i rodziny trochę materiału na ubranie. Na wszystkich śledztwach Nina uparcie zaprzeczała wszystkim oskarżeniom. Humoru nigdy nie traciła, uważała swą sprawę za nieporozumienie i oczekiwała lada dzień zwolnienia. Aż któregoś dnia, po dłuższym niż zwykle pobycie w gabinecie sędziego, wróciła zmieniona do niepoznania. Leżąc na brzuchu, na swoim więziennym łóżku, jęczała i płakała bez przerwy. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Podeszłam do niej po jakimś czasie. „Nina, co ci się stało?”

„Zbili mnie całą, calutką, och jak mnie bili. Tylko cicho, nic nikomu nie mów, boję się”.

Potem w łaźni oglądałam nogi dziewczyny sine od pasa do kolan.

Nie wzywano jej długo. W końcu jednak wywołano ją znowu. Żal było patrzeć na tę roslą, silną dziewczynę zawsze przedtem spokojną, a teraz trzęsącą się ze strachu. Była blada jak ściana, trzęsła się jej broda i szczękały zęby. Na próżno starałam się ją trochę uspokoić. Nie wróciła już do celi, ale spotkałyśmy się jeszcze.

Którejś nocy, po przeszło miesięcznej przerwie, wezwano mnie znowu na śledztwo.

„No, powitał mnie młody człowiek, najwyższy czas skończyć śledztwo. Mnóstwo czasu na was straciłem. Przyznajecie się w końcu do szpiegostwa, czy nie?”

„Ciekawe, dlaczego akurat dziś mam się przyznać, skoro w ciągu roku tego nie zrobiłam?”

„No cóż, czasem człowiek nabiera rozumu, chociaż jest późno” – sentencjonalnie odrzekł sędzia.

„Proszę przeczytać akt oskarżenia i zeznania świadków przeciwko wam”.

„Jakich znowu świadków, przecież żadnego nie widziałam?”

„Badano ich bez waszej obecności. Proszę”.

Przeczytałam ów akt oskarżenia.

Oskarżano mnie oczywiście w dalszym ciągu o uprawianie agitacji kontrrewolucyjnej w szkole i o szpiegostwo w czasie pracy w Ambasadzie. Zarzut kierowania grupą kontrrewolucyjną, o dziwo, usunięto.

„Widzicie, jak łagodnie z wami postąpiłem? Cofnąłem zarzut kierownictwa grupą kontrrewolucyjną” – powiedział sędzia z miłym uśmiechem.

„To dobrze świadczy o waszym poczuciu humoru” – odrzekłam zgryźliwie.

Po przestudiowaniu owego dokumentu powiedziałam, że ja jednak tego nie podpiszę. Lokal i wikt na Łubiance bardzo mi odpowiadają i mogę tu jeszcze drugi rok posiedzieć.

„Och, za dobrze się z wami obchodziłem, za dobrze” – westchnął sowiecki major. „Może chociaż racycie powiedzieć, co gotowicie podpisać, sami rozumiecie, że coś podpisać trzeba, no?”

„Proszę pisać: przyznaję się, że na jesieni roku 1939 uważałam wkroczenie wojsk sowieckich do Polski za bez-

prawne pogwałcenie paktu o nieagresji wciąż obowiązującego. Przyznaję się, że nie mogłam być pozytywnie nastrojona wobec państwa, które wbiło nóż w plecy mojej ojczyźnie walczącej z Niemcami. Do żadnej działalności szpiegowskiej nie przyznaję się. To wszystko”.

„Co, co takiego? – wrzasnął nagle sędzia – Ja mam napisać coś podobnego w akcie oskarżenia? Samiście powinni rozumieć, że jest to niemożliwe”.

Kilka minut milczenia. W końcu: „Opuśćcie chociaż ten idiotyczny nóż w plecy. Przecież to na waszym wyroku zaciąży. Zarozumiałstwo i duma całkiem nie na miejscu”.

Targ w targ – zrezygnowałam z „noża w plecach”, resztę wpisał do aktu słowo w słowo i kazał mi podpisać.

Kiedy już stałam we drzwiach czekając na konwojenta powiedział: „No cóż, opanowania macie dużo, ale to i tak na nic się nie zda. Żegnajcie”.

„Dziękuję za uprzejmość – zobaczymy”.

Miesiąc jeszcze czekałam na wyrok. W końcu jednak wywołano mnie z celi, do której już nie miałam wrócić i odczytano mi ów wyrok skazujący mnie „na pięć lat pobytu w poprawczym obozie pracy za kontrrewolucyjną agitację w szkole”. O szpiegostwie ani słowa. Był to chyba jedyny tego rodzaju wypadek, że NKWD przestało kogoś uważać za szpiega.

Wysłuchałam tej sentencji w ciasnej szafce zwanej psią budą, która, jak się okazało, była używana i do tego celu (zwykle robiono tam rewizję osobistą). Odczytał mi wyrok jakiś niewysokiej szarzy enkawudysta. Długo wspominałam jego zdumione spojrzenie, kiedy nieprzystojnie parsknęłam śmiechem.

„A wam co się stało?” – zapytał ze zdumieniem.

„Nic, śmiesznie, że tak mało daliście. Szkoda, czy co?”

„Nie wasza sprawa” – burknął. „Zasłużycie – to dolożą”. Bardzo zgorzsony wyszedł.

Tego samego dnia przewieziono mnie do tych samych Butyrek, gdzie leżałam chora w szpitalu. Było to stare więzienie z dawnych carskich czasów. Łubianka była wówczas naprawdę hotelem, nie więzieniem. Tu miałam przesiedzieć jeszcze przeszło miesiąc w oczekiwaniu na transport do

obożu. Któregoś dnia w ubikacji odkryłam taki stary, wydrapany napis, przez nikogo ze straży widać nie dostrzeżony: „Ten, kto tu wchodzi, niech nie rozpacza. Ten, kto wychodzi, niech się nie raduje. Kto był – nie zapomni. Kto nie był – ten będzie”.

Nie wiem, czy te gorzkie słowa mądrości więziennej powstały teraz, czy dawno temu, ale właściwie nic się nie zmieniło w matce-Rosji. Zmiany są tylko ilościowe, zamiast tysięcy – miliony ten napis czytają.

„Pieresylka”

Więzienie Butyrki miało dwa specjalne pomieszczenia, zwane celami przesyłkowymi. Były to wielkie pomieszczenia na 150-200 osób. W jednym z nich siedziały kryminalistki, w drugim zaś tak zwane przestępczynie polityczne, zwykle niewiele mające wspólnego z jakąkolwiek polityką. Gmach więzienny był olbrzymi i musiał mieć kilkanaście tysięcy więźniów. Widziało się z niego tylko fragmenty.

Towarzystwo w mojej celi było liczne i różnorodne. Wśród około 150-ciu „kontrewolucjonistek” było może kilka mających jakie takie pojęcie o polityce i faktycznie nieprzychylnie nastrojonych wobec rządu. Cała ogromna reszta były to najprawdziwsze proletariuszki, ciężko pracujące robotnice fabryczne, konduktorki, pracownice kooperatyw itd. Winy ich powstały w ten sposób, że któraś narzekła na drożyznę, jakiej za carskich czasów nie było, inna powiedziała publicznie, że takie psie życie gorsze od śmierci, inna jeszcze odsprzedała pięć metrów materiału sąsiadce. Wyroki – od pięciu do ośmiu lat – opiewały odpowiednio: „za agitację antysowiecką”, „za groźby terrorystyczne”, „za spekulację” itd. Po dobrym stażu na Łubiance uważałam to wszystko za zupełnie naturalne.

Tutaj też, po raz pierwszy od wywiezienia mnie do Rosji, spotkałam Polkę. Była to osiemnastoletnia córka osadnika na Wołyniu, Lilka. Dostała dziesięć lat z wyroku Najwyższego Trybunału Rewolucyjnego i sądził ją prawdziwy sąd, z czego była zresztą bardzo dumna. Historia jej odbiegała od banału

sztucznie wytworzonych, fikcyjnych przestępstw, w które nie wierzył prawie nigdy oskarżony, a już na pewno nigdy sędzia, który je wmawiał.

Lilka, wywieziona wraz z innymi osadnikami z Polski w zimie 1940 roku na daleką północ, w rejonie Kotłasu, pracowała przy wyrębie lasu. Pewnego dnia, gdy na robocie nie było w pobliżu niej nikogo, zobaczyła dwóch obcych mężczyzn. Byli to zbiegowie z jakiegoś pobliskiego obozu, bardzo wynędzniali. Dziewczyna użaliła się nad nimi, wygrzebała jakąś mapę w chałupie, uzbierała chleba i zaniósła im do lasu. Poszli dalej. Ktoś jednak musiał zauważyć i wysłano do lasu pogoń z komendantem miejscowej milicji na czele. Po paru dniach przyniesiono do wsi trupa komendanta i przyprowadzono obu zbiegów. Bronili się zażarcie. Lilkę aresztowano za pomoc w ucieczce. Zbiegów, rzecz prosta, rozstrzelano, a jej dano „zaledwie” 10 lat, z uwagi na młody wiek. W ciągu tego roku spędzonego na zesłaniu i w więzieniu dziewczyna zapomniała już po polsku, a nie nauczyła się rosyjskiego i mówiła jakimś żargonem polsko-rosyjskim. Zamieszkałyśmy teraz obok siebie na wspólnych narach.

Mimo, że naszej celi było daleko do elegancji i czystości obowiązującej na Łubiance, bo leżałyśmy obok siebie pokotem w tłoku i ścisku, i nie dawano nam żadnej bielizny pościelowej, to życie upływało tu wcale znośnie. Książek dawano dużo. Jedzenie było możliwe – ten sam chleb, kasza i zupa, ale w większych ilościach. Strażnicy prawie do nas nie zaglądali, ponieważ stale byli zajęci uśmierzaniem hałasów i bójek w sąsiedniej, kryminalnej celi. Wiele też znaczyła świadomość, że ma się poza sobą zmorę śledztwa i badań.

Przysłuchiwanie się odgłosom dochodzącym z sąsiedniej celi stanowiło specjalną rozrywkę. Codziennie toczyły się tam wielkie boje z łamaniem więziennych stołków i wydzieraniem sobie wzajemnie kłaków z głowy. Repertuar wyzwisk, którymi obrzucano próbujących bezskutecznie interweniować strażników był fantastyczny. Język rosyjski zdobył sobie już od dawna pod tym względem zasłużoną sławę w Europie, a w Związku Sowieckim sztuka wymyślania doszła do zupełnej doskonałości, prawdopodobnie dlatego, że w pierwszych po

rewolucji latach władze wydały specjalny edykt zabraniający wyzwisk.

Wiedziałyśmy od tychże strażników, że rej w tych wyczynach wodzi młoda bandytka, imieniem Halka, skazana za dwanaście kradzieży i trzy usiłowania morderstw (w tym jedno z pozytywnym skutkiem), na 9 lat więzienia.

Pewnego wieczoru drzwi naszej celi otworzyły się z wielkim hałasem i dwóch tęgich strażników wprowadziło właśnie ową Halkę.

„No, masz teraz politycznych. Może przestaniesz wrzeszczeć nareszcie, żeby cię przenieść do innej celi. Siedź teraz tu” – powiedzieli jej na pożegnanie zatraskując drzwi.

Dziewczyna stała bez ruchu patrząc na nas. Była bardzo piękna. Wysoka, szczupła, o chłopięcej głowce, subtelnym owalu twarzy. Wspaniałe szare oczy patrzyły chmurnie spod długich rzęs i prostych, czarnych brwi. Białe zęby błyskały zza drgających nerwowo ślicznych ust.

W celi panowało zupełne milczenie. Jest niepisane prawo, że więźniarki robią przychodzącej miejsce i okazują trochę uwagi, nie tyle przez współczucie, co przez prostą ciekawość. Ale teraz lepsze towarzystwo przybrało wrogi wspólny front wobec osławionej bandytki, której, jak się okazało, ni stąd ni zowąd zachciało się siedzieć z politycznymi.

Halka czekała, coraz mocniej tylko ściągając brwi i zagryzając usta. No, za chwilę usłyszymy, co o nas myśli, przyszło mi do głowy. Równocześnie nie mogłam się oprzeć uczuciu sympatii wobec tego czarującego stworzenia.

„Chodź do mnie” – powiedziałam więc nie namysławiając się dłużej – „będziesz spała koło mnie”.

W tej samej chwili dobiegł do mnie przestraszony szept jednej z sąsiadek:

„Co robisz, nieszczęsna, ona nas okradnie, podusi w nocy”.

„Cicho bądź, wrono jedna” – odparłam niecierpliwie – „włos ci z głowy nie spadnie”.

Halka wolno podeszła do mnie. „Chcesz naprawdę spać koło mnie?” – pytała nieufnie. „No pewnie, że chcę, gdybym nie chciała, to bym ci nie mówiła. Lokuj się”.

Od tej chwili zawarłyśmy przyjaźń, dzięki której zaczęło

mi się powodzić doskonale. Halka nałożyła srogi haracz na wszystkie więźniarki, które otrzymywały z domu wałówki. Ponieważ nikt nie śmiał się jej sprzeciwić, a była bardzo sprawiedliwa, po raz pierwszy od kilkunastu miesięcy nie byłam głodna. Opowiedziała mi z czasem przebieg swego króciutkiego, dziewiętnastoletniego życia. Córka jednego z pomniejszych dygnitarzy sowieckich, wychowana we względnym dobrobycie, znalazła się w kompletnej próżni po aresztowaniu ojca w 1937 r. Wyrzucona z Komsomotu, z wzorowej szkoły, ze wszystkich organizacji dla młodzieży, jako córka „wroga ludu”, przez długi czas nie wiedziała co ze sobą zrobić. W tej samej sytuacji znalazło się kilkunastu jej koleżków. Utworzyli bandę włóczęgów i kiedyś dla kawału okradli jakiegoś solidnie wyglądającego enkawudystę. Odtąd zaczęło się. Zasmakowali w tym hazardowym zajęciu, przy czym specjalizowali się w okradaniu, a później i mordowaniu ludzi z NKWD uważając ich za personalnych wrogów. Halka zresztą żadną „mokrą” robotą osobiście się nie zajmowała. Pełniła zawsze rolę „wabika” z powodu swej urody. Później, zwabionego w jakiś ciemny zaułek faceta obrabiali jej koledzy. Ubocznym zajęciem było okradanie podmiejskich lotnisk.

„Oni mi udowodnili dwanaście kradzieży – opowiadała Halina – durnie! Było ich czterdzieści cztery. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że tak przydusili jakąś staruszkę na podmiejskim lotnisku, za to że znanadto się darła, że aż się ‘zatknęła’. A mówiłam – ostrożniej..., ale i to jeszcze może by jakoś przeszło, ale następnego dnia wpadliśmy z tym enkawudystą, który zaczął się bronić tak, że aż trzeba go było nożem pchnąć. I wyobraź sobie – opowiadała z przejściem dziewczyna – ja po aresztowaniu na śledztwie wypierałam się oczywiście wszystkiego, zaklinałam się, że nic w tej sprawie nie wiem, że nigdy takiego na oczy nie widziałam, bo przecież nie ma żadnych dowodów, a trup świadczyć nie może, aż tu wprowadzają mnie nagle do drugiego pokoju, a tam przy stole siedzi ten sam facet, żywy, cholera, jak gdyby nigdy nic i powiada, że to ja przecież zwabiłam go w ten zaułek, gdzie go ograbili i nożem pchnęli, niestety za mało. No i co było robić? Musiałam się przyznać”.

Śledztwo Halki było urozmaicone. Któryś sędzia, chcąc

skruszyć opór zatwardziałej przestępczyni uderzył ją w twarz. Ona nie namyślała się długo i połamala na drobne kawałki krzesło na głowie niefortunnego sędziego. Jego zabrano do szpitala, jej dano trzy dni karceru, po czym zmieniono jej sędziego, bowiem poprzedni za nic nie chciał dalej prowadzić śledztwa.

Oczywiście, że gdyby na podobną reakcję pozwolił sobie któryś z więźniów politycznych, dzień ten byłby ostatnim w jego życiu, ale stosunek do kryminalistów jest w Rosji Sowieckiej zupełnie odmienny. Kryminaliści są bowiem uważani za ludzi politycznie czystych, a zatem społecznie mało szkodliwych i możliwych do poprawienia. Stąd też przeciętna kara za morderstwo wynosi 2-3 lata obozu poprawczego, wobec wyroków 5, 10 i 15-letnich za tzw. agitację, pod którą to nazwę podciąga się wszelkie nie odpowiadające komukolwiek wypowiedzi. Przestępcy kryminalni, pewni względnej bezkarności, stanowią w ZSSR groźną siłę i terroryzują, a nierzadko mordują więźniów politycznych, do których czują wielką pogardę.

Halka, zbyt jeszcze młoda i wepchnięta na tor przestępczości wskutek specjalnych warunków, zdawała sobie sprawę, że nie ma już dla niej powrotu do żadnego innego życia.

Pewnego dnia wprowadzono do naszej celi znowu dwie „nowe”. Były to młode dziewczyny, wyglądające niezwykle elegancko, jak na poziom sowiecki. Miały utlenione włosy, które już odrastały na ciemno przy skórze, malowane usta i pantofle na wysokich obcasach. Powiedziały od razu, że są „polityczne” i że trafiły tu „za agitację”.

Halina milczała, ale przed uśnięciem rzekła mi na ucho: „To są prowokatorki i musimy się ich pozbyć jak najprędzej”.

„Ale jak – pytałam – a zresztą co to cię obchodzi, nie musisz z nimi rozmawiać”.

„Chciałam, żeby mnie tu przenieśli nie po to, żeby mieć znowu świnię koło siebie”, mruknęła Halka ze złością.

Nazajutrz, jeszcze przed świtem, zanim straż kazały nam wstawać, obudził mnie jakiś niezwykle wrzask. Siadłam na narach i na wpół przytomnie zaczęłam się rozglądać. Halki przy mnie nie było, natomiast w kącie, gdzie zamieszkały

nowo przybyłe, odbywała się bitwa. Halka trzymała jedną ręką którąś z dziewczic za utleniony czub, drugą zaś z wielką wprawą waliła ją po pysku, równocześnie obiecywała wrzeszczącej towarzysze, że zaraz i na nią przyjdzie kolej. Obietnicy dotrzymała tak szybko i wprawnie, że zanim straż zdążyła odryglować drzwi i wkroczyć, obie rzekome prowokatorki miały spuchnięte policzki. Strażnicy zabrali wszystkie trzy do karceru. Z tego niezbyt przyjemnego miejsca wróciła Halka następnego dnia wieczorem zziębnięta i szczękająca zębami, ale bardzo zadowolona. „No – powiedziała – sam naczelnik więzienia do mnie przyszedł. Pytał za co je właściwie pobiłam i chciał żebym obiecała, że już więcej nie będę. No to mu powiedziałam, że niech się lepiej ich spyta, za co dostały i że jeżeli ich nie zabiorą, to co dzień im takie samo lanie sprawię. No cóż, wprawdzie potrzymali mnie dobę w tym diabelskim chłodzie, ale jestem i nic mi nie będzie, a te mały nie wróciły i mamy spokój”.

Przyszedł w końcu dzień, gdy wraz z paru innymi wywołano mnie „do etapu”. Haliny nie wezwano. Zatwardziała przestępczyni zalewała się gorzkimi łzami, żegnając się ze mną.

„I co ja teraz zrobię – szlochała – ja przecież mam dopiero dziewiętnaście lat. Może mogłabym jeszcze być człowiekiem, a teraz już będę na zawsze Halka – bandytka i nikt mi nie pomoże, prócz takich samych, jak ja”.

Jeszcze jedna – setna chyba – rewizja, jeszcze jedno *quasi*-badanie lekarskie, a potem znowu karetka więzienna, migające przez okratowane okienka światła na zaśnierzonych ulicach moskiewskich (był koniec lutego, 1941 roku). „O przekłète miasto”, wzdycha obok mnie Estonka, Renata, złapana w czasie pogodnej przejażdżki jachtem wzdłuż brzegów Estonii przez sowiecką łódź podwodną i skazana również na pięć lat „za kierownictwo grupą kontrrewolucjonistów”, chociaż jedyną organizacją do jakiej w życiu należała był chór kościelny.

W końcu dworzec – nie wiem który – i długi rząd „stołypinowskich”, zakratowanych wagonów. Załadowano nas do wagonów po uprzednim oczekiwaniu na klęczkach, na śniegu. Sprawdzone nazwiska, obok nas zamknięto innych

więźniów w sąsiednim przedziale. Przy sprawdzaniu ich nazwisk uderzyło mnie znajome nazwisko. Tak samo przecież nazywała się Nina – Tatarka na Łubiance.

„A ciebie za co wsadzili, stary?” – „Oj za córkę, za córkę” – odpowiedział starczy, drżący głos męski. „Córka całą rodzinę wyspała, przyznała się, że spekulowaliśmy wszyscy”. A więc biedna Nina nie wytrzymała w końcu nowych metod śledztwa.

Zakończono wreszcie sprawdzanie, pozamykano wszystkie przedziały i dano po kawałku chleba i dwa śledzie co miało starczyć na dobę. Przedział w środku posiadał trzy wąskie półki z każdej strony. Było nas sześć, więc miałyśmy każda – półkę dla siebie, czyli wielką wygodę. Jechać można było tylko w pozycji leżącej, bo na siedzenie półki były za niskie.

Staliśmy jeszcze dwa dni bez ruchu. Straż przy wagonie pełnili czterej młodzi chłopcy w mundurach wojskowych, wszyscy kaleki, bez obu nóg.

„Co się wam stało?” – spytałam jednego z nich, młodziutkiego, dobrodusznego chłopaczka.

„Na fińskim froncie odmroziliśmy” – powiedział cicho żołnierz. „Trzeba było odciąć. Dużo było takich. Teraz pilnujemy takich, jak wy. I za co was zamknęli?”

„Też za wojnę, za wojnę w Polsce” – odpowiedziałam.

Wreszcie po dwóch dniach pociąg ruszył. Jechaliśmy długich trzydzieści dni. Pod koniec podróży zabrakło żywności i w ciągu trzech dni nie dostawaliśmy nic. Czasami pociąg stawał na długie godziny w zamiecionym śniegiem stepie i zdawało się, że już nigdy dalej nie ruszy zasypyany śniegiem, i że tylko wiatr będzie wył nad naszymi kośćmi.

Karabas

Po czternastu miesiącach więzienia i trzydziestu dniach podróży z Rosji w głąb Azji wyprowadzono nas o świcie przed pociąg. Był początek marca. Wschodzące, jakby zadymione słońce zaczynało czerwienić pokryte śniegiem wzgórza. Czterdziestostopniowy mróz zapierał oddech w piersiach.

Ludzie zamknięci w ciągu długich miesięcy i odzwyczajeni od świeżego powietrza nie mogli złapać tchu na mrozie. Popędzani przez strażników zapadali w śnieg po pas, usiłując ciągnąć za sobą swoje biedne tobołki.

O jakieś dwa kilometry od stacji kolejowej Karabas widać było kilka długich baraków wylepionych z gliny. Był to punkt rozdzielczy dla więźniów przeznaczonych do obozów nazywanych „Grupą karnych obozów prowincji Karaganda”. Stąd dopiero miano nas rozsyłać do poszczególnych punktów. Tu, w jednym z baraków nastąpiły znane już na pamięć formalności; po raz setny padały pytania: „Nazwisko?” „Imię?” „Imię ojca?” „Rok urodzenia?” „Paragraf?” „Termin?” itd.

Po zakończeniu, zaprowadzono nas do łazni, w której kąpiące się kobiety obsługiwali więźniowie, mężczyźni. Początkowe nasze protesty łaziebnicy uspokajali flegmatycznymi zapewnieniami, że nie my pierwsze i nie ostatnie, a im w ogóle wszystko jedno, czy chłop, czy baba się kąpie. Po dziesięciu latach siedzenia w obozie to już nie ma żadnego znaczenia.

Tak pocieszone i z grubsza wymyte zaprowadzono nas do baraku przeznaczonego dla kobiet i oczekujących na dalszy transport. Tu, wśród przeszło trzydziestu więźniarek po raz pierwszy spotkałam kilkanaście Polek. Była to wielka radość. W ciągu roku przeszło przebywania tylko z Rosjankami zaczynałam już prawie zapominać własnego języka. Gdy wieczorem udało się nam zdobyć bardziej zaciszny kąt baraku, gdy ucichł gwar otaczającego nas tłumu i większość posnęła, po raz pierwszy spłynął w serce jakiś cień otuchy i nadziei, że przecież człowiek już nie jest taki potwornie sam i że może razem przetrwamy.

Głód budził nas bardzo wcześniej w tym Karabasie. Po paru godzinach oczekiwania przynoszono wreszcie śniadanie: pół litra rozgotowanej na rzadko kaszy i 400 gramów chleba, który miał wystarczyć na cały dzień, a który naturalnie zjadałyśmy od razu. Na obiad, około pierwszej po południu, przynoszono nam znowu pół litra zupy. To było wszystko. Na kolację dostawałyśmy tylko gorącą wodę. Mimo jednak ciągłego głodu, do którego człowiek niestety nie może się

przyzwyczać, czas upływał nam wcale przyjemnie. Do pracy nas tu nie zmuszano, mogliśmy więc gadać do woli o wszystkim. Prawie wszystkie moje rodaczki były uwięzione za owo nieszczęsne przejście granicy, z wyjątkiem paru oskarżonych o „agitację” lub „kierownictwo akcją kontrrewolucyjną”. Najmniejsze wyroki wynosiły trzy lata, najwyższe – 10. Opowiadałyśmy sobie to wszystko szczegółowo, a poza tym usiłowałyśmy przewidzieć dalsze losy wojny i polityki światowej, co przy naszej kompletnej izolacji było raczej trudne.

Największą jednak naszą atrakcją było chodzenie „na spacer”. Zagroda z drutu, którym nasz barak był otoczony pozostawiała trochę wolnego miejsca pomiędzy barakiem, drutem i wieżą strażniczą, na której czuwał żołnierz, z karabinem maszynowym wymierzonym w naszą stronę. Tu wydeptałyśmy sobie drogę – 30 kroków w głębokim śniegu wzdłuż ogrodzenia. Było to bardzo wiele, w porównaniu z krążeniem po celi, półciemnej zimą i latem. Teraz o ile nie zbliżyliśmy się zanadto do drutu (bo wtedy z wieży padał okrzyk „stój, bo strzelam”) nikt nam nie przeszkadzał.

Słońce świeciło jaskrawo, śnieg błyszczał bielą w świetle, ciemniał błękitem w załomach. Bryły jego odrzucone od baraku przypominały nieodparcie od dawna nie widziany cukier w kostkach. Parę razy na dzień wyłaniał się zza pasma wzgórz pociąg ciągnący za sobą czerwone pudełka wagonów towarowych, lub zielone – osobowych. Wydawało się jakieś śmieszne i nieprawdopodobne, że w tych wagonach mogą jechać jacyś sowieccy „wolni” ludzie.

Od czasu do czasu, gdy głód już za bardzo dawał się we znaki, zgłaszaliśmy się na robotę. Przymusu pracy tu jeszcze nie było. Werbowano dobrowolne grupy, tak zwane „brygady” do odrzucania śniegu z torów kolejowych. Dostawało się za to dodatkowo 500 g chleba i pół litra zupy. Konwojowało nas kilku żołnierzy z podoficerem na czele. Ten w przystępach szczerości mawiał: „Ech dziewczęta, dziewczęta, myślicie, że mnie tak miło za wami z karabinem łązić? Ot, byłem ja tam u was pod Wilnem, pod Lwowem... piękny kraj, bogaty...”. Tu urywał wynurzenia.

Któręś dnia, po wieczornym sprawdzeniu (trzy razy

dziennie sprawdzano czy wszystkie jesteśmy), wyczytano szereg nazwisk. Prawie wszystkie moje nowe przyjaciółki wywożono gdzieś dalej. Po dwóch dniach wyczytano również i mnie.

Osada Nr 6

Załadowano nas znowu do pociągu wraz z grupą 50 kobiet i powieziono w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Tym razem podróż trwała zaledwie dwanaście godzin, doczepiono bowiem wagon więzienny do pociągu osobowego. (Poprzednio na przebycie tej samej drogi zeszło 10 dni). Wyładowano nas w Akmolińsku, w tak zwanej Bazie NKWD. Stąd dopiero miałyśmy jechać saniami do położonej na stepie Osady Nr 6, czyli obozu koncentracyjnego. Tymczasem zamknięto nas w glinianym baraku, wydano suchy prowiant i pozostawiono w spokoju.

Nazajutrz o świcie przyszły po nas sanie. Był to właściwie osobliwy pociąg. Na przodzie szedł stary traktor, który ciągnął za sobą coś podobnego do małego wagoniku na płozach, z piecykiem na węgiel wewnątrz. Wagonik ten był przeznaczony dla obsługi traktora i konwojentów. Za nim sunęła olbrzymia skrzynia-sanie, niczym nie pokryta, przeznaczona dla nas.

Mróz był bardzo ostry, około -40° . Od stepu miotło gęstym, drobnym śniegiem. Może być burza śnieżna, tak zwany „buran”, mówiły więźniarki sowieckie jadące z nami i zaczynały opowieści o tym, jak dwa miesiące temu kolejny transport więźniów zamarzł w stepie, zamieciony przez „buran” wraz z konwojem. Znalezione ich dopiero wtedy, gdy następna burza śnieżna odwiała masy śniegu z przysypanych. Wypadki takie zdarzają się podobno co rok.

Wśród tych opowiadań ładowałyśmy się do sań, okrywając się czym która miała, siadając z kolanami pod brodą na dnie skrzyni. Wreszcie jakoś wepchałyśmy się wszystkie. Traktor zaterkotał, szarpnął raz i drugi bezskutecznie, i wreszcie za trzecim ruszył z miejsca. Wjechaliśmy w step zaśnieżony i płaski.

Droga miała wynosić przeszło 40 km. Traktor szedł z szybkością czterech kilometrów na godzinę. W najlepszym razie mogłybyśmy przybyć na miejsce po upływie 10-11 godzin (gdyby się nic nie zepsuło i gdyby nie było „buranu”). Była godzina ósma rano.

Już po godzinie takiej jazdy zaczęły nieznośnie drętwieć zmarznięte ręce i nogi. Skurczone na dnie skrzyni musiałyśmy siedzieć w zupełnym bezruchu, bo na każdą zmianę pozycji było za ciasno. Nie było obawy, żeby ktoś uciekł na stepie, są łatwiejsze sposoby samobójstwa w obozie (w więzieniu samobójstwo jest absolutnie wykluczone. Więzień nawet jeśli jest sam w celi nie ma zupełnie sposobu na popełnienie samobójstwa i jest ustawicznie obserwowany przez okienko w drzwiach, tak zwanego „judasza”).

Od czasu do czasu zabierano którąś z nas do owej upragnionej budki, jeżeli już zanadto zsiniała, lub odmroziła twarz. Wreszcie przyszła i na mnie kolej. Zadymione wnętrze wagonika wydało mi się niesłychanie zaciszne, choć rozpalony piecyk parzył z jednej strony, a z drugiej zawiewało śniegiem przez dziury w ścianach. Konwojenci drzemali. Co dwie godziny zmieniały się kierujące traktorem, też jak się okazało więźniarki. Było ich dwie – starsza już, ponura i milcząca, druga młoda, hoża, dwudziestoparoletnia kobietka rozgadała się wkrótce.

Z jej słów wynikało, że obóz, do którego nas wiozą, to obóz „żon”. Są w nim same kobiety – sześć tysięcy kobiet. Wszystkie zostały aresztowane w 1937 roku i skazane na okres od pięciu do ośmiu lat obozów pracy, jako „członkowie rodzin wrogów ludu”. Co stało się z ich mężami, członkami partii komunistycznej, oskarżonymi o cały szereg najfantastyczniejszych zbrodni, nie wiedziały. Do listopada 1940 roku były w obozie same „żony”, w tym miesiącu przyszedł pierwszy transport Polek, przed kilkoma dniami – drugi, my – to już trzeci. Wszystkich Polek jest już około trzystu.

Zacząłyśmy wypytывать ją o tryb życia i robotę w obozie. „Pracować ciężko trzeba, ale jeszcze się jakoś trzymamy, byle zdrowie dopisywało. Ot my, traktorzystki, jesteście uprzywilejowane, dostajemy większe porcje jedzenia, cieplejsze ubranie” – opowiadała dziewczyna – „ale ile razy trzeba było

nocować w zimie, w pustym stepie, gdy się traktor zepsuł, ile namęczyć się nad naprawą. Ręce, nogi i twarze mamy poddmrażane, ślady nigdy nie znikają. Najciężej jest w czasie kampanii siewnej i zbiorów. Nie mamy wtedy odpoczynku ani w dzień, ani w nocy. Pracuje się 14-16 godzin na dobę, od świtu do późnej nocy, a nieraz i noce całe, aby zebrać zboże, które się sieje w obozie. Trzeba się śpieszyć, bo tu zboże, jak tylko dojrzeje, zaraz się sypie”.

„No, a jakie są inne prace?” – pytałyśmy.

„Jest fabryka – szwalnia. Tam pracuje bardzo dużo kobiet, ponad dwa tysiące, są kuchnie, pralnie, piekarnie i stołownia obozowa. Jest dość duży szpital – dla więźniów i dla wolnych, którzy mieszkają „za zoną”, czyli za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Są stajnie, obory i kurniki... Wszystko to obsługują więźniarki. One też prowadzą buchalterię obozu. Latem większość idzie na roboty w polu i w ogrodach. Wszystkie budynki, a jest ich ponad 100, zostały wybudowane przez kobiety. One też same wyrabiają cegłę potrzebną do dalszej rozbudowy, bo obóz się stale powiększa. Osada liczy ponad 3000 ha, całe wielkie gospodarstwo rolne, nie tylko całkowicie samowystarczalne, ale eksportujące zboże w głąb Związku Sowieckiego, a jarzyny do najbliższego miasta, to znaczy do Akmolińska. Są nawet cieplarnie. Oczywiście, że wszystko, co się wyprodukuje nie jest dla więźniów, tylko dla wolnych”.

„Ot, i tak żyjemy, moje dziewczęta” – kończyła Klara, bo takie było imię traktorzystki. „Bo trzeba wam wiedzieć, że każda z nas wciąż jest dziewczęciem, choćby miała 50 lat. Tak mówimy do siebie, tak się utarło. Prawie nigdy nie mówimy do siebie ‘towarzyszko’”.

„Czy bardzo źle jest z jedzeniem?” – pytałyśmy jeszcze z uporczywością, którą tylko od dawna głodny człowiek wykazuje.

„Ilość otrzymywanego jedzenia zależy od wyrobienia ‘normy’. Każda praca jest normowana, wszystko – od przyszywania guzików aż do wrywania marchwi i kopania śniegu. Jeżeli się normę robi (o co bardzo trudno), to się dostaje dziennie 900 gramów chleba czarnego, śniadanie, obiad i kolację, a ponadto pewną minimalną kwotę w

pieniądzach, od 20 do 40 kopiejek dziennie. Jeżeli się normy nie wykona – dostaje się 400 g chleba, nie dostaje się kolacji, ani żadnej opłaty. Te zaś, które robią po 125% normy, to są tak zwane „stachanówki”. Dostają one premię pieniężną i prawo kupowania tak zwanych dań premiowych – talerza dodatkowej kaszy, lub grochu. Zawsze przejadają to, co zarabiają.

Głodne nie będziecie, jeżeli będziecie bardzo pracowały – zakonkludowała Klara – tylko... nie każdej sił starcza”.

Tymczasem zmrok powoli zapadał. Już widać było porośły sitowiem brzeg jeziora, po drugiej stronie którego znajdował się obóz. Dzięki temu właśnie jezioru mogło powstać gospodarstwo rolne zasilane wodą z kilkunastu przekopanych rękami więźniarek kanałów, tzw. „aryków”.

Noc już była pełna, gdy przybyliśmy na miejsce. Obóz wyglądał jak każdy inny na terenie ZSSR. Otoczony drutem kolczastym, co kilkanaście metrów miał wieże z wartownikami silnie oświetlone. Wewnątrz obozu światła elektrycznego oczywiście nie było.

W wielkim parku – stołowni dano nam po kawałku chleba i misce gorącej wody, po czym nastąpiła kąpiel w lodowatej łaźni, gdzie wydano nam obozowe odzienie (gruba bielizna i barchanowe, szare suknie). Nareszcie szczękające zębami z zimna znalazłyśmy się w olbrzymim, pustym i zimnym baraku. Nazajutrz miał się odbyć jeszcze jeden przegląd lekarski, a po nim przydział roboty.

Ranek, który przyszedł po tej pierwszej nocy, przyniósł niespodzianą radość, bo wszystkie moje towarzyszkii wywiezione przed kilku dniami z Karabasuu, były tutaj. Wypytywaniom i rozmowom koniec położył dopiero gong wzywający na robotę. One już pracowały, chodziły ścinać trzcinę, czyli „kamysz”. Okazało się, że wielkie jezioro dostarczające latem wody do nawodnienia pól, w zimie zaopatrywało cały obóz w opał. Drzewa nie było w promieniu paru tysięcy kilometrów. Brzegi miało zarośnięte wysoką i grubą trzciną. Trzcinę tę żęło się sierpami, wiązało w snopy i przyciągało po śniegu do obozu. Odpowiednio do tego były trzy brygady robotnic: „żnice”, „wiązałki” i „przywożące”. Przyjaciółki moje żęły. Wychodziły o piątej rano, jeszcze

przed wschodem słońca, a wracały o szóstej wieczorem. Zabierały ze sobą na te trzynaście godzin kawałek suchego chleba, który im zamarzał w kieszeniach. O zrobieniu wymaganej normy – 75 snopów – nawet nie marzyły. Były wyczerpane długim siedzeniem w więzieniu, a ponadto żadna z nich nie miała sierpa w ręku. Teraz musiały stać cały dzień po pas w śniegu tnąc grube, twarde badyle, kalecząc i odmrażając ręce i robiąc zaledwie 20% wymaganej ilości. Ubrane w watowane kaftany i także spodnie, w wołokowych „walonkach” wyglądały żałośnie i komicznie, jak duże pingwiny. Twarze miały już popałamane i zgrubiałe, oczy czerwone od ciągłego blasku śniegu. Okularów przeciwsłonecznych oczywiście nie dawano, każda miała zapalenie spojówek.

Tyle się dowiedziałam przed wyjściem na robotę.

Od ósmej rano, za przepierzeniem tego samego baraku zaczęła urządować komisja lekarska – dwie lekarki i dwie siostry, wszystkie – więźniarki. Badania szły szybko i pobieżnie, jak zwykle w rubryce stanu zdrowia zaznaczano przeważnie „ciężka praca fizyczna”, bardzo rzadko „lekka praca”.

Przyszła kolej i na mnie. Ku memu wielkiemu zdziwieniu badano mnie dłużej niż inne i oznaczono na mej karcie „lekka praca”. Okazało się, że nawet zdaniem lekarzy obozowych, przebyte w więzieniu zakażenie krwi wywołało zbyt wielkie zmiany w sercu. Miałam się więc przekonać, jak wygląda uprzywilejowana lekka praca.

Skierowano mnie do fabryki – szwalni, miałam prasować tam męskie spodnie. Fabryka znajdowała się na skraju obozu, tuż przy ogrodzeniu z drutu. Był to dość duży kompleks wzniesionych z gliny budynków, wraz z elektrownią – wszystko zbudowane rękami uwięzionych kobiet. Praca była ściśle znormalizowana i podzielona. Były specjalistki od przyszywania kołnierzy, guzików, zszywania takich, czy innych szwów, krojczynie, hafciarki itp. Gotowe wyroby przechodziły do prasowaczek. Gatunek wyrobów był niesłychanie niski. Norma w prasowaniu spodni męskich, w dniu mego przyścia do fabryki wynosiła 75 par w ciągu dwunastogodzinnego dnia pracy. Żelazko elektryczne ważyło 8 kg.

W czasie pracy były trzy przerwy: pół godziny na obiad i dwie 10-cio minutowe przerwy w ciągu dnia. Teoretycznie miało się pracować na dwie zmiany, dzienną i nocną, przy czym każda miała trwać po 10 dni, potem przerwa miała wynosić 36 godzin. W praktyce jednak dzień odpoczynku wypadał nieregularnie, raz na 10, 15, a nawet 20 dni, zależało to od stopnia wypełniania planu pracy przez cały zespół.

Pierwszego dnia, stojąc przy stole i z trudem powłóczęc olbrzymim, ciężkim żelazkiem, bezskutecznie starałam się naśladować zdumiewająco szybkie ruchy moich sowieckich towarzyszek. Prasowałam czasem spodnie w życiu, ale prasować w ciągu 12 godzin i wyprasować 75 par, to wydawało mi się czymś najzupełniej niewykonalnym. Nogi już po paru godzinach stania bolały mnie okropnie, a ręce jeszcze bardziej.

Po skończonym dniu pracy okazało się, że wyprasowałam 24 pary, jednak brygadierka nadzorująca nas pocieszyła mnie, że to wcale niezły początek. Wprawę nabiera się szybko.

Więc tak wygląda „lekka praca” myślałam, brnąc po kostki w mokrym śniegu po drodze do mego baraku. Pocieszające było tylko to, że ze zmęczenia wcale nie byłam głodna. Gdy spotkałam moje przyjaciółki, wygłodzone jak wilki, mokre i zmarznięte, którym praca na powietrzu dawała nie mniej zmęczenia, a w dodatku wściekły głód, pomyślałam, że skoro nie marznę i nie moknę jak one, to jednak moja praca jest rzeczywiście lekka.

Stachanowskie metody pracy

Po kilku dniach przebywania w fabryce okazało się, że brygadierka miała rację. Potrafiłam już wykonać normę, a nawet ponad normę. Dostawałam więc 900 gramów chleba i kolację codziennie. Ponieważ jednak jeść mi się wciąż nie chciało, moje posiłki przydawały się zbieraczkom trzciny. Ja marzyłam tylko o tym, kiedy wreszcie będę mogła wyciągnąć się na wspólnych narach i rozprostować palce. Ból rąk i nóg nie dawał mi zasnąć do późnej nocy. Przy pracy czuło się go mniej. Ruchy stawały się zautomatyzowane i celowe. W

pogoni za zdobyciem „normy” zapominało się o bólu. Nie było najmniejszego sensu pracować wolniej i nie zrobić nakazanej ilości i tak przecież trzeba było stać cały dzień i suwać żelazkiem. Lepiej już było mieć z tego jakąś korzyść.

Po kilkunastu dniach dano nam dzień wolny, po czym nasza brygada miała przejść na zmianę nocną.

Po południu owego wolnego dnia zdarzył się w naszym baraku, zamieszkałym przez trzysta kobiet, pierwszy śmiertelny wypadek. Jakaś starsza kobieta, której termin kary upływał w najbliższych dniach, dostała ataku serca.

„Dziewczęta, siostry, umieram” – krzyczała dziwnie silnym i donośnym głosem. Położono ją na podłodze, ktoś pobiegł po lekarkę. Nim jednak nadeszła, było po wszystkim. Trupa zabrano dopiero późnym wieczorem. Płakała po niej jej więzienna przyjaciółka, która razem ze zmarłą jeszcze wczoraj cieszyła się, że wkrótce zobaczy ona rodzinę i dzieci od pięciu lat nie widziane.

Ta pierwsza śmierć na długo pozostała w pamięci i najsilniejsze zrobiła wrażenie. Po kilkunastu miesiącach, w czasie letniej epidemii dyzenterii, codziennie wywożono po 5, 10 trupów z obozu i nikt na to nie zwracał uwagi.

Na nocnej zmianie pracowało się w innym lokalu i żelazkami starego typu, grzаныmi na wielkiej, rozpalonej do czerwoności płycie kuchennej. Były dużo lżejsze od elektrycznych, ale za to trzeba je było zmieniać co najmniej co 10 minut i tracić czas na chodzenie po nowe. W tym czasie podniesiono normę i teraz wynosiła już ona 95 par.

Nastrój w tej prasowni był bardziej domowy, na płycie, obok żelazek grzało się wodę na herbatę z ziółek, przypiekało skrawki chleba. Rzadziej tu zaglądały do nas kontrolujące brygadierki.

Ponieważ w miarę nabywania wprawy i prasowania przez nas coraz większej ilości spodni, podnoszono nam obowiązującą normę, zmuszając przez to do coraz większego wysiłku, wysunęłam kiedyś prasowaczkom propozycję, aby nigdy nie prasować więcej niż 125% (co wystarczało do otrzymania „dania premiowego” i małej zapłaty), aby w ten sposób uniknąć zupełnej utraty sił przy takim systemie pracy na akord.

Propozycja uzyskała pozorną aprobatę, ale w praktyce nigdy nie udało się osiągnąć żadnej solidarności. Pomimo ciągłego narzekania na potworne zmęczenie, zawsze zdarzyło się, że któraś z sowieckich robotnic (zwykle ta, która narzekała najbardziej), wyłamała się z powziętego postanowienia i wykonała 150%, albo i więcej.

Nie sposób było zrozumieć mentalności tych kobiet. Od czterech lat siedziały niewinnie w więzieniu, zdarły już siły i zdrowie, maltretowano je na każdym kroku, a one przecież wyłaziły ze skóry, żeby przypodobać się brygadierce, takiej samej więźniarce, jak i one. Wiedziały doskonale, że przez takie postępowanie zmusza się całą brygadę (złożoną z dwudziestu kobiet), do morderczej pracy, jedynym rezultatem której będzie znowu podniesienie normy. Nie chodziło im już nawet o zaspokojenie głodu, bo przy wykonaniu 125% maksymalna ilość była zapewniona. Charakterystyczna była tu psychologia sowieckiego niewolnika, zdolnego tylko do płaszczenia się kosztem największego wysiłku, niezdolnego do żadnej solidarności, do odrobiny osobistej odwagi.

Minęło najpierw 10, potem 15, wreszcie 25 nocy pracy (tymczasem normę podniesiono nam do 140 par spodni), a my wciąż nie miałyśmy wolnego dnia. Trzeba było wykonać jakiś plan fabryczny. Zmęczenie stawało się nie do zniesienia. Kilka godzin gorączkowego snu w dzień, w hałasie trzystu osób w baraku, nie przynosiło prawie ulgi. Miało się ciągle wrażenie, że oczy są zasypane piaskiem. W nocy pracowało się na wpół przytomnie, drzemiąc i drżąc równocześnie ze strachu, że się spali rządowy materiał, co nie tylko spowoduje konsekwencje materialne, ale również może być uznane za „sabotaż”.

Wreszcie, trzydziestej z rzędu nocy naprawdę zasnęłam prasując. Obudził mnie huk rozpalonego żelazka spadającego na podłogę o włos od mojej nogi. Wypuściłam je z rąk. Wszystkie prasowaczki przerwały pracę patrząc osłupiałym wzrokiem w moją stronę. „Tak i kaleką można zostać” – powiedziała któraś. „Słuchajcie – krzyknęłam – ja mam dosyć. Jak chcecie to zadenuncjujcie mnie. Wyprasowałam 105 par, jest czwarta rano. Zmiana przychodzi o siódmej – do siódmej będę spała”.

Rzuciłam żelazko i położyłam się na gorącym jeszcze stole, podkładając sobie pod głowę stos uprasowanych spodni. Za chwilę spałam jak kamień i nic mnie nie obchodziło, co zrobi reszta.

Najdziwniejsze było, że tym razem im zaimponowałam. Gdy przed siódmą przyszła kobieta, aby sprzątnąć salę przed dzienną zmianą, zastała nas wszystkie śpiące pokotem na stołach. Żadna nie wyprasowała ani sztuki więcej. Nie przeszkodziło to zresztą którejś z nich donieść brygadierce, że ja nie chciałam pracować i namawiałam je do zaniechania pracy.

Nazajutrz dano nam wolny dzień.

Wojna sowiecko-niemiecka

Szybko przyszła i przeszła króciutka kazachstańska wiosna, w czasie której step pokrył się ostro pachnącym piołunem, dzikimi tulipanami i irysami. Robotnice pracujące na robotach „za zoną” przywoziły czasem trochę kwiatów. My nigdy nie wychodziłyśmy za druty.

Od czasu do czasu mogliśmy czytać przychodzące do obozu gazety. Kiedyś przeczytałam w *Prawdzie* ostre zaprzeczenie wiadomości, podanej przez prasę neutralną o koncentracji wojsk sowieckich i niemieckich na granicach.

Oczywiście zaraz pomiędzy Polkami wybuchła dyskusja, czy już zaraz się zacznie, bo że wojna między Hitlerem a Stalinem jest, mimo wszelkich paktów nieunikniona, w to nikt z nas nie wątpił.

Dzień 22 czerwca zaczął się tak samo jak wszystkie inne. Szłam właśnie do roboty, znów na nocną zmianę, kiedy wpadł ktoś z wiadomością, że wojna już wybuchła. Niemcy napadli na Rosję poprzedniej nocy. Rewelację przyjęto jednak z wielkim niedowierzaniem. Każdy bowiem, kto był w więzieniu lub w obozie wie, że codziennie słyszy się sensacyjne wiadomości i fantastyczne plotki na tematy polityczne, z których 90% okazuje się bujdą wysnutą z palca. Gdy jednak przyszłam do fabryki i zobaczyłam miny brygaderek uwierzyłam natychmiast. Nic nie mówiąc zabrałam

się do roboty. Teraz najprzezorniej było milczeć.

Myśli kłębiły się: nadzieja zmian i złośliwa satysfakcja, że przecież się przeliczyli, trwoga o bliskich – dotąd jeszcze względnie bezpiecznych, przewidywania, jaki z tego może wynikać rezultat dla spraw polskich, wszystko to zazębiało się wzajemnie.

Okrzyk sąsiadki wyrwał mnie z tych myśli. „Spójrz, spójrz” – wołała – „jakie straszne niebo”. Za oknem zachodziło słońce. Cały widnokrąg zalany był czerwienią, jak nigdy dotąd, step pływał w krwawej poświacie. „Rosja w krwi umyta”, przypomniawszy mi się nagle tytuł książki jednego z autorów sowieckich.

Już pierwsze dni dalekiej, toczącej się gdzieś u dawnych polskich granic wojny przyniosły w stosunku do nas, Polek, wyraźne zmiany. Coraz częściej obserwowano się zdwojoną podejrzliwość, wyciąganie na rozmówki na robocie przez Rosjanki, wyraźne prowokacje. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Któregoś wieczoru, było to już w lipcu 1941, zabrano z naszego baraku młodą dziewczynę, która kilkakrotnie na robocie ostro reagowała na wszelkie zaczepki i nie krępowała się w swoich wypowiedziach.

Poprzedniego dnia właśnie byliśmy na robocie „za zoną”. Był to wprawdzie dobrze zasłużony dzień odpoczynku, ale żebyśmy nie odpoczęły zanadto, posłano nas na brzeg jeziora po starą trzcinę na opał do kuchni. Ponieważ robota była nienormowana, więcej było gadania, niż zajęcia. Na wszelkie poganiania brygadierki nie reagowałyśmy w ogóle, ale ona właśnie upatrzyła sobie coś w owej Mili. Nie słyszałam od czego zaczęła się kłótnia, bo właśnie drzemałam w stogu siana, korzystając z ogólnej nieuwagi. W każdym razie Milla jeszcze raz powiedziała dobitnie, jakie ma zdanie o Związku Sowieckim i jak się cieszymy, że wreszcie dostaną po skórce. Czegoż tak się oburzają, że Niemcy na nich napadli, zrobili przecież to samo w stosunku do Polski, razem z Niemcami. Następnego wieczoru zabrano ją z baraku i długo nie wiedziałyśmy, co się z nią stało. Gdy po upływie wielu miesięcy spotkałam ją już na wolności okazało się, że przesiedziała pół roku w karnym więzieniu za zonę, została sądzona przez sąd doraźny i skazana, po czym ułaskawiona. I

sąd, i ułaskawienie miały miejsce już po zawarciu umowy polsko-sowieckiej, warunkiem której było natychmiastowe uwolnienie wszystkich Polaków aresztowanych i wywiezionych po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski.

W tym samym czasie i dokoła mnie w fabryce zaczęła tworzyć się ciężka atmosfera i toczyć specyficzne rozmówki. Życzliwe kobiety ostrzegały mnie, żeby się nie dać sprowokować, nie było to jednak takie łatwe.

Którejś nocy, przy robocie, roztrząsano długo sprawę przyszłego zwycięstwa nad Niemcami, którzy zresztą zdążyli na razie zabrać całą Białoruś i pół Ukrainy. „Nie tylko odbierzemy im wszystko, ale jeszcze i Warszawę sobie weźmiemy – zdecydowały sowieckie patriotki. „Żeby tylko Niemcy, zanim Warszawę weźmiecie, Kijowa wam nie zabrali” – nie wytrzymałam i odpaliłam na miejscu. Zapanała ambarasująca cisza.

Nazajutrz starsza naszego baraku, zezowata Rosjanka, skazana nie wiem za jakie męzowskie zbrodnie na 10 lat, wezwała mnie do siebie i pokazała w gazecie dekret rządowy w sprawie pociągania do odpowiedzialności przed sądem doraźnym osób rozpowszechniających panikarskie wiadomości.

„To bardzo odpowiednia lektura dla ciebie” – powiedziała – „przygotuj się na to, co cię czeka”.

W fabryce przestano się w ogóle do mnie odzywać. Warto było rozejrzeć się za jakimś innym miejscem pracy zwłaszcza, że rozpoczęły się upały, normę znowu podniesiono, dzień roboczy zwiększono do 13 godzin na dziennej zmianie i 11 na nocnej. Już naprawdę sił nie starczało na ciągnięcie rozpalonego żelazka. Z najwyższym wysiłkiem mogłam zrobić tę normę.

Racje chleba zmniejszono do 700 g i do 600 g przy normie. Nie wykonujące normy dostawały tylko 300 g. Skasowano słynne dania premiowe. Ustała wszelka zapomoga z domu, w postaci nadsyłanych przez rodziny paczek. Urwała się, z trudem nawiązana korespondencja, zakazana w więzieniu. Nie było już do kogo pisać, dawno na naszych ziemiach byli Niemcy. Dnie szły coraz głodniejsze i bardziej beznadziejne.

Epidemia

W końcu lipca przywieziono do naszego obozu wielki transport więźniów, Polaków ze Starobielska, ewakuowanych przed Niemcami. Po raz pierwszy, oprócz kobiet do obozu przybyli mężczyźni. Byli to przeważnie chorzy i starcy. Po kilku dniach, w obozie dotąd wolnym od chorób zakaźnych, wybuchła epidemia dyzenterii.

Nie pracowałam już wówczas w fabryce, skorzystałam bowiem skwapliwie z tzw. „postoju”, czyli kilkudniowego zahamowania produkcji, które od czasu do czasu zdarzało się, gdy nie dowieziono na czas potrzebnej ilości materiałów. Zgłosiłam się więc do zarządu obozu o inną pracę. Na razie wysłano mnie na dorywczą nienormowaną robotę do ogrodów, lub w pole. Dostawało się za to tylko 300 g chleba, bez kolacji, ale trwało to tylko 7 godzin i nikt się z robotą nie śpieszył. Dobrze było wytchnąć, choćby kosztem większego głodu. Na wieść o epidemii, która rozpoczęła się wśród nowo przybyłych, kilka z nas postanowiło zgłosić się do szpitala, jako sanitariuszki. Trochę w tym było altruizmu, a trochę chęci jakiejś odmiany. Ofertę przyjęto.

Mnie posłano do obozowego ambulatorium.

Tu obowiązki polegały na codziennym myciu podłóg w sześciu salach i czterech korytarzach, przynoszeniu z odległej kuchni kilkunastu wiader gorącej wody, pomocy przy opatrunkach i sprzątaniu wszystkich nieczystości po chorych. Dziennie przewijało się około 100 osób. Praca trwała od siódmej rano do ósmej wieczorem, z godziną przerwą na obiad. Ponieważ normy tu nie było, bo być nie mogło, racja chleba była minimalna.

Dodatkowym obowiązkiem było przynoszenie obiadów i kolacji dla personelu lekarskiego. Lekarki, chociaż również uwięzione, korzystały pod tym względem ze specjalnych przywilejów i miały wikt zupełnie inny. Codziennie więc po robocie, głodna jak pies, bo ostatni raz jadło się o godzinie pierwszej w południe, a potem dopiero następnego rana, przynosiłam do ambulatorium rondle jarzyn, pierogów, czy ryb. Nie zdarzyło się ani razu w ciągu dwóch miesięcy, aby

którąś z dwóch sanitariuszek czymś poczęstowano. Natomiast nieraz sprząając znajdowałyśmy spleśniałe kawałki chleba, stęchlą rybę itp.

Po paru tygodniach takich zajęć kazano mi zabrać wiadro z lizolem, gumowe, podarte rękawiczki i udać się do małego domku znajdującego się w pobliżu ambulatorium. Była to obozowa trupiarnia.

Według obowiązującego w sowieckich obozach pracy przepisu, każde zwłoki muszą być poddane sekcji. Ponieważ teraz zgonów zdarzało się pięć do dziesięciu dziennie, roboty nie brakło. Przy sekcjach asystowało kilka sowieckich lekarek. Robił je młody lekarz, Węgier, uwięziony za przejście granicy. Co młodsze lekarki przychodziły na sekcje, jak na widowisko rozrywkowe. Ubierały się pod fartuch w to, co miały najlepszego, wyciągały antyczne pantofle na wysokich obcasach, umalowane jaskrawo korzystały z jedynej sposobności, aby kokietować przerażonego tym wszystkim, ubabranego we krwi po łokcie doktora.

Do moich obowiązków należało codzienne asystowanie przy sekcjach, mycie i dźwiganie trupów, zaszywanie wypatroszonych brzuchów, wynoszenie krwi i wszystkich „odpadków”.

Powoli tępało nawet obrzydzenie. Ogromna większość zwłok to były szkielety, obciążnięte zwiędłą, żółtą skórą, wycieńczone przez pelagrę, dobite przez czerwonkę.

Wieczorami moja mała przyjaciółka, Marusia, pracująca w szpitalu, zapowiadała:

„Wiesz, ten biedny sędzia Linder ze Lwowa pewnie już długo nie pociągnie, coraz z nim gorzej”...

I rzeczywiście po paru dniach poznawałam z opisu staruszka Lindera i innych Marysinych pacjentów. Nie wiadomo czemu kobiety prawie wcale nie umierały.

Któregoś dnia, podając skalpel nachyliłam się za nadto nad trupem. Krew i posoka bryznęły mi w twarz. Na trzeci dzień zachorowałam ze wszystkimi, bardzo ostrymi objawami dyzenterii.

Ponieważ szpital obozowy był w tym czasie przepełniony do ostatecznych granic, przeleżałam 10 dni w baraku na drugim piętrze wolnych nar. Jedyнным lekarstwem był

roztwór *kaliihypermanganicum*, dawany jako napój. Lekarka zaglądała co dwa dni, mimo to jakoś wszystko przeszło.

Gdy jednak ponownie zjawiłam się w ambulatorium po owych dziesięciu dniach, zdecydowano, że mój wygląd nie jest odpowiedni do tej instytucji, bądź co bądź zdrowia publicznego i odesłano mnie znowu do dyspozycji zarządu obozu.

Odchodziłam z ambulatorium z ulgą. Miałam już dosyć nie tylko trupów, ale i kaszlących, ledwie wlokących nogi, a wciąż zmuszanych do pracy starców, chorych wenerycznie sowieckich żołnierzy (jedynych wolnych ludzi, jacy się w ambulatorium pojawiali; cała załoga obozu leczyła się gremialnie), jak również rozhisteryzowanych żon byłych sowieckich dygnitarzy.

Skierowano mnie do prac ogrodowych.

Umowa polsko-sowiecka

W owym czasie obóz nasz rozrósł się do prawie 10 000 więźniów. Od czasu przywiezienia transportu więźniów ze Starobielska, oddzielono specjalny kwartał dla więźniów-mężczyzn. Po jakimś czasie odnalazłyśmy tam paru znajomych. Choć wszelkie komunikowanie się z nimi było surowo zabronione, sposoby porozumiewania się znalazłyśmy łatwo. Rozpoczęło się więc wzajemne komunikowanie sobie plotek politycznych i innych wiadomości. Nic konkretnego jednak nie było wiadomo, zastanawiające natomiast były coraz częściej napotykanne w prasie sowieckiej wzmianki o „bohaterskich polskich partyzantach” walczących na terenach okupowanych przez Niemców. Do niedawna czytało się i słyszało tylko enuncjacje na temat „Polski panów i kapitalistów, tego poronionego płodu polityki wersalskiej”, „bękarta państw zachodniej Europy”, rządzonego przez „zdrajców narodu polskiego”, no i czasem do tego dochodziły artykuły opisujące szczęście „wyzwolonych spod pańskiego jarzma” Białorusinów i Ukraińców. Obecnie tematów tych zupełnie w prasie sowieckiej nie poruszano.

Drugiego sierpnia 1941 r. jeden z nielicznych oficerów

przywieszionych ze Starobielska zakomunikował nam, że został wezwany do naczelnika obozu, który oznajmił mu o zawarciu umowy pomiędzy Rządem Polskim na wygnaniu i Rządem Sowieckim, podając zasadnicze punkty tej umowy: natychmiastową „amnestię” dla wszystkich Polaków uwięzionych przez Rosjan oraz rozpoczęcie tworzenia „autonomicznej Armii Polskiej” na terenie ZSSR. Pełny tekst umowy miał być nazajutrz odczytany wszystkim więźniom.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła ta rewelacja. Wolność, o której się tak długo śniło, w której nadejście przestawało się już wierzyć, miała stać się czymś realnym i bliskim. Wszystkie nasuwające się wraz z zawarciem umowy problemy – jak właściwie będzie w praktyce wyglądało to przymierze z dotychczasowym wrogiem, w jaki sposób rząd sowiecki zrealizuje swoje obietnice, czy rzeczywiście na terenie ZSSR powstanie niezależna Armia Polska – wszystko to bladło wobec doznanej radości, że umowa przynosi wolność półtoramilionowej masie wywiezionych w głąb Rosji Polaków.

Wprawdzie smutne doświadczenie od razu kazało nam się przygotować nie tylko na cierpliwość, ale również i na to, że nie wszyscy na pewno, mimo najuroczystszych umów, wyjdą z sowieckich kopalń i obozów poza kołem biegunowym, że jakiś procent i to na pewno nie mały, zostanie na wieki w tej obcej, wrogiej ziemi wbrew wszelkim umowom i wolności nie zobaczy. Niechętnie jednak słuchano tych sceptycznych głosów, bo psuły ogólną radość – któż wówczas mógł coś słyszeć o Katyniu?

Odtąd każdą wolną chwilę poświęcałyśmy dyskusjom nad tym, co będziemy robiły po wyjściu na wolność. Żadnej z nas nie uśmiechała się ani wolność sowiecka, ani syzyfowe prace nad sowieckim budownictwem socjalistycznym. Chciałyśmy móc pracować wreszcie dla swoich. Wszystkie więc zdecydowałyśmy się na pójście do wojska, chociaż wcale jeszcze nie wiedziałyśmy, czy będzie ono przyjmowało kobiety.

Dwunastego sierpnia 1941 r. zwolniono pierwsze partie Polaków – około 80-cioro kobiet i mężczyzn. Następnie, w odstępach najpierw dziesięciodniowych, a potem dwutygod-

niowych, wreszcie miesięcznych – zwalniano dalsze, coraz mniejsze partie. Kto i kiedy wyjdzie, nigdy nie było wiadomo. Jak wszędzie, tak i tu panowała tajemnica. Tak samo jak przy aresztowaniu i wywożeniu do obozów rozdzielano matki od córek, które w więzieniu były razem i otrzymały takie same wyroki, tak teraz, przy uwalnianiu, rozdzielano te, które zdołały dotąd jakoś tego uniknąć. Uwalniano więc matkę, a pozostawiano córkę, lub na odwrót. Stopniowo też rozbiła się nasza zwarta dotąd grupa. Coraz to któraś szczęśliwa już i wolna wyjeżdżała w jakiś nieznany, wolny sowiecki świat. Pozostające żegnały, prosząc o pamięć, o listy, ale nikt nie chciał już pamiętać. Uwolnione, wraz z więziennymi łaćkami chciały zrzucić z siebie cały koszmar dotychczasowej egzystencji, a nawet wszelkie o niej wspomnienie. Na próżno więc czekałyśmy na listy.

Po odejściu z ambulatorium przydzielono mnie do tak zwanej „brygady inspektowej”. Było w niej piętnaście kobiet wszelkich narodowości. Tu wreszcie spotkałam się z solidarnością, a była to solidarność złodziejska. Ponieważ do naszej brygady należały zbiory w inspektach i na półkach doświadczalnych w całym obozie, więc miałyśmy wielki wybór produktów rolnych, poczynawszy od kartofli, kończąc na melonach i kawonach. Oczywiście, że kradzież była połączona zawsze z pewnym ryzykiem, raz po raz słyszało się o złapaniu tej czy innej więźniarki na kradzieży w polu. W takich wypadkach aranżowano na przódce sąd na miejscu i do poprzedniego terminu kary dodawano jeszcze rok za kradzież trzech kartofli, no i sprawa była załatwiona. My miałyśmy o tyle ułatwioną sytuację, że inspekty znajdowały się w obrębie „zony” i wskutek tego nie rewidowano nas przy bramach wiodących do obozu, co spotykało zawsze pracujące w polu. Oczywiście jednak było, że przy pierwszym donosie zostałybyśmy złapane. Jakoś jednak wszystkie miały dość rozsądku żeby milczeć. Wracałyśmy więc codzień do baraków obławowane potajemnie taką jarzyną, przy której przyszło nam pracować.

Praca w inspektach była normowana ale zawsze w jakiś sposób udało nam się nabrać brygadierkę i udowodnić, żeśmy normę zrobiły. Okazało się, że i tego można się nauczyć.

Urodzaj na ogół był bardzo dobry. Jesień w Kazachstanie przychodzi nagle i choć dni są jeszcze ciepłe, nocami już od września rozpoczynają się tegie przymrozki. Nie mogłyśmy więc nadażyć z uprzątaniami, zwłaszcza kartofli, wrażliwych na mróz. Widząc więc, że całe tony pozostają na noc w polu, prosiłyśmy o pozwolenie na kupno ich. Oczywiście odmówiono. W kilka dni później wyrzuciłyśmy te wszystkie kartofle do dołów na śmiecie, bo zmarzły i zaczęły gnić. To żeśmy z nich sporo zdążyły ukraść, to już był nasz prywatny spryt.

W tym samym czasie Wanda, moja przyjaciółka, pracowała w młynie. Cały dzień dzwigała worki z mąką i kaszą, a przy okazji kradła, co się dało. W ten sposób nastały dla nas tłuste czasy. Co wieczór w garnku, na płycie barakowej kuchenki, perkotały jakoweś oryginalne potrawy – marchew z kaszą, kartofle z grochem, albo kapusta z cebulą. Oczywiście robiło się to bez odrobiny tłuszczu, ale i tak było świetne. Ponieważ miałyśmy nową „starszą” baraku, kobietę wielkiej poczciwości, udawała, że nam wierzy, że wciąż jeszcze gotujemy tę marchew, której pięć kilo sprzedano nam przed miesiącem w nagrodę za ciężką pracę.

Tymczasem dokoła robiło się coraz puściej. Dawno już wyjechały Irena, Maria, Anna i mała Marysia. Nic się o nich nie wiedziało. Były gdzieś wolne i nie myślały o pozostałych. Myśmy wciąż siedziały coraz mniejszą grupą wśród coraz bardziej wrogiej masy Rosjanek, które zazdrościły nam już nie tylko wolnej przeszłości, ale i nadziei na uwolnienie. Pracowałyśmy w dalszym ciągu jak maszyny, usiłowałyśmy wyczytać pomiędzy liniami sowieckich gazet coś konkretnego na temat spraw polskich. Od czasu do czasu interpelowałyśmy naczelnika obozu kiedy wreszcie zostaniemy zwolnione i otrzymywałyśmy zawsze tę samą stereotypową odpowiedź: „Nie szkodzi, wszystkie wyjedziecie we właściwym czasie”.

Ale czas upływał i wyjeżdżali inni, a nie my.

Tymczasem robiło się coraz zimniej. Prawie wszystkie zboża i jarzyny były już z pól i ogrodów zebrane, młócono jeszcze tylko zboże na klepisku za zoną. Tam więc skierowano mnie po zakończeniu pracy w inspektach.

Wszystko dla frontu:

Damy frontowi najlepszy gatunek chleba

Te i inne hasła krzyczały co dzień ze szpalt prasy sowieckiej. Obóz nasz był niepoślednim producentem chleba w Kazachstanie. Urodzaj tego roku był doskonały. Ogromne klepisko zasypane było prawdziwymi górami pszenicy. Robota była tam zasadniczo dwóch rodzajów: przesypywanie zboża z miejsca na miejsce dużymi, drewnianymi łopatami, żeby nie zaczęło rosnąć i oczyszczanie z plew na wszelkiego rodzaju wialniach. Praca była tylko nocą, w dzień zwożono zboże z pól.

Pracowałam przy wialni elektrycznej. Załogę stanowiły dwie kobiety i trzech drabów – kryminalistów. (Sporo ich w owym czasie przywieziono do obozu, który zaczął tracić swój „polityczny” charakter). Myśmy wsypywały zboże do maszyny, a oni nasypywali je do worków po oczyszczeniu i ładowali na ciężarówki. Doszliśmy prędko do przekonania, że wprowadzić łżej jest podnosić pięćdziesięciokilogramowe worki we dwie, ale wówczas trzeba pracować bez przerwy całą noc, podczas , gdy zmieniając się co dwie godziny ze stogu słomy, zagrzebane w której momentalnie zasypiałyśmy. Budziłyśmy się szcękając zębami z zimna, ale dźwiganie worków rozgrzewało bardzo szybko. Najtrudniej było wytrzymać ostatnie dwie godziny, od czwartej do szóstej rano. Ciągłe się wypatrywało jaśniejszego rąbka zorzy na horyzoncie. Najpierw niebo stawało się zielonkawe, jak piórka pawia, potem złoto-pomarańczowe i wreszcie z czerwieni wyłaniało się słońce. Wszystko dokoła okryte było szronem, tającym w grube krople rosy. Przychodziła druga zmiana i zaczynało zwozić nowe partie pszenicy.

Po kilkudniowych przymrozkach zaczęły się na nowo deszcze. Całą pracę przeniesiono do krytej stodoły na ręczne wialnie, bo elektryczna, stojąca pod gołym niebem nie mogła pracować. Tu już znowu pracowała cała brygada. Cztery kobiety kręciły korbę, a reszta nosiła worki z jednego końca olbrzymiej stodoły, w drugi. Wydawało się zawsze, że taka noc nigdy się nie skończy. Kurz był okropny. Od ciągłego

chodzenia w kółko kręciło się w głowie. Podniesienie za jednym zamachem pięćdziesięciokilogramowego worka i wysypanie go do maszyny wydawało się teraz głupstwem. Tu trzeba było 50 kg zwalić na plecy, nieść około 20 metrów, wyspać, wrócić, znowu nieść i tak bez końca. Brygadierka bardzo chciała się zasłużyć i popędzała ustawicznie.

„Nie kwękać. Robić normę. Tu nie ma miejsca na pasożytów. Prędej, prędej”. I tak całą noc, aż chrypła z wrzasku. Rano brnęliśmy wreszcie spać do baraku, ledwo wyciągając nogi w podartych więziennych butach zwanych „traktorami”, oblepionych tłustym błotem.

Mimo wszystkich haseł i morderczych wysiłków, coś nie kleiło się w tej naukowej organizacji pracy. Zboże zamokło i zaczęło gęsto porastać zieloną runią. Ustawiczne przesypywanie z miejsca na miejsce jakoś nie pomagało. Po dziesięciu dniach góry zboża wyglądały zupełnie zielono. Zdążono oczyścić i wywieźć zaledwie третią część zbiorów.

W tym samym czasie racje chleba w obozie zmniejszono znowu.

Ten sam los spotkał po jakimś czasie olbrzymie kupy dorodnej marchwi, która nie schowana w porę w kopce zmarzła wreszcie na kość. To samo działo się z każdym zbiorem. Wspaniałe urodzaje, kolosalny wysiłek ludzki, dawały w rezultacie co najmniej 50% zniszczenia. Równocześnie coraz więcej robotnic puchło z głodu.

Uczucie stałego, ssącego głodu nie opuszczało nas nigdy od chwili aresztowania. Organizm pozbawiony był zupełnie białka, cukru i tłuszczu. Nawet, jeżeli udawało się coś zdobyć, to jedzenie samych jarzyn chwilowo napychało, ale nie nasycalo nigdy. Nie można było nigdy wyzwolić się od myśli o jedzeniu, o zarciu. Każdej wolnej chwili konstatowało się, że znowu człowiek wyobraża sobie jakieś potrawy. I w tym zresztą była stopniowa dekadencja. Najpierw wyobrażało się jakieś mięsa, ciasto, chałwę (ideał – tłuste i słodkie), ostatnio marzyło się już tylko o tym, żeby raz do syta najeść się czarnego chleba. Dwa kilogramy od razu i do tego garnek grochu, albo kartofli.

Codziennie rano rozwożono chleb z piekarni do szpitala i stołowni. Cały wóz rumianych, wypieczonych bochenków.

Gdyby taki jeden spadł właśnie przede mną. Ale nigdy nie spadł.

Przydział na pracę w piekarni był najśmielszym marzeniem każdej z nas, ale nigdy nie dostała się tam ani jedna Polka. Miał swoją sowiecką arystokrację, która od dawna pozajmowała wszystkie cieplejsze miejsca. Nam musiała wystarczyć nasza porcja zjadana momentalnie w chwili otrzymania. Obrzydliwości tego ciągłego, zwierzęcego, poniżającego uczucia nigdy się nie zapomni. Trzeba to przeżyć aby zrozumieć.

W połowie października mrozy rozpoczęły się na dobre i spadł pierwszy, puszysty i głęboki śnieg. Tego wieczoru wydawało się, że zima zawsze będzie taka cicha i lekka.

W tym czasie w zarządzie obozu przypomniano sobie moje pierwsze sukcesy jako prasowaczki i skierowano mnie do obozowej pralni, do prasowania. Nie była to rozkoszna robota, to prasowanie brudnych i zawszonych, pomimo wyprania, łachów w ciasnym baraku, pełnym odoru brudnej bielizny i kłębow pary. Wobec zimy było to jednak miejsce nie do pogardzenia. Był dach nad głową, było ciepło. Zwolniono mnie jednak szybko, bo brygadierka, lesbijka, chciała to miejsce zapewnić dla jednej ze swoich ukochanych.

Zewnętrzne roboty

Wysłano mnie na zbieranie trzciny. To, czego mi się udało uniknąć w zeszłym roku, roboty na mrozie, teraz przyszło i trzeba było pogodzić się z losem. Bo i co można było zrobić? Protestować raz jeszcze? Pytać znowu, kiedy i my wreszcie, ostatnie niedobitki, zostaniemy zwolnione? Pisać skargi do Głównego Prokuratora, czy do Stalina? Wszystkiego już próbowałyśmy i wszystko pozostawało bez odpowiedzi. Coraz trudniej było wmawiać sobie i kilku innym, że to nic, że jednak i my zostaniemy zwolnione, że przecież tyle się już zniosło, to się i tę resztę wytrzyma. Myśl buntu, która powstała wśród nas, minęła bardzo szybko. Przyczynił się do tego zresztą i fakt sądu nad Milą zabraną latem do więzienia. Sąd ten odbył się właśnie teraz i wyrok podano do

wiadomości. Opiewał on na 10 lat ciężkiego więzienia i 15 lat pozbawienia wszelkich praw „za kontrrewolucyjną agitację w obozie”. Od lipca do października trzymano ją w karcerze tuż za zoną. Po cichu szeptano, że Miła została uprzednio skazana na śmierć, a potem zmieniono jej karę śmierci na owe 10 lat więzienia. Odpis wyroku zdołała sobie zachować. Sentencja wyroku brzmiała:

„10 lat surowego odosobnienia bez prawa korespondencji, za kontrrewolucyjną agitację w obozie i wychwalanie rządu Sikorskiego”.

Wyrok wydano w dwa miesiące po zawarciu przez rząd sowiecki umowy z Rządem Generała Sikorskiego.

To wszystko nie bardzo zachęcało do jakichś wystąpień. Trzeba było czekać, bez końca czekać.

Poszłam więc z kolei „na kamysz”. Należałam do brygady zwożącej trzcinę do obozu. Wyglądało to w ten sposób, że wiązało się ścięty kamysz razem, po pięć, sześć snopów (im więcej, tym lepiej, bo prędzej było można zrobić normę i oszczędzić sobie jednej z ośmiokilometrowej tury przez jezioro), zaprzęgało jak koń do takiego jarzma, przerzucając sznur przez plecy i ciągnęło po lodzie aż do obozu. Norma zmieniała się w zależności od odległości, z której trzeba było trzcinę przyciągnąć i wynosiła od 35 do 45 snopów. Dni były już bardzo zimne, nie mrozy jednak były najcięższe lecz ustawiczne burze śnieżne, czyli „burany”. „Buran” taki zrywał się zwykle z rana i trwał przez kilka dni. Wiatr miotając całe grudki śniegu ścinał z nóg i siekł twarze, zapierając oddech w piersiach. Przetartą drogę śnieg zasypywał natychmiast. Za każdym krokiem zapadało się po kolana. Snopy, które dość łatwo było ciągnąć po przetartej drodze, gdy nie było wiatru, teraz wydawały się stutonowym ciężarem. Pot zalewał czoło i marznął na policzkach.

Wprawdzie przepisy obozowe wyraźnie głosiły, że trzydziestostopniowy mróz wraz z wiatrem zwalnia od robót w polu, w praktyce jednak wyglądało to w ten sposób, że nieraz kazano nam już sprzed bramy wrócić na chwilę do baraku, a po godzinie stawić się znowu, ponieważ rzekomo mróz spadł o pół stopnia. Zwykle po prostu nie zwracano uwagi na temperaturę.

Bywały co prawda dni, kiedy wichura i zamieć były tak silne, że jednak nie ryzykowano wypuszczenia ludzi na jezioro. Te błogie dni przesypiało się na narach, zawijając się we wszystkie posiadane szmaty, modląc się, aby taki niewątpliwie buran, kiedy przed sobą o trzy kroki nic już się nie widziało, potrwał przynajmniej ze trzy dni.

Ku środkowi zimy 1941 r. zdaje się, że tylko jeden rodzaj pracy w obozie pozostawał mi nieznany. Było to tak zwane „zatrzymywanie śniegu”. Było to o wiele gorsze, niż zbieranie kamyszy. Bałam się tej roboty panicznie i pewnie dlatego mnie w końcu nie ominęła.

Step kazachstański bardzo szybko na wiosnę wysycha. Latem deszcz nie pada tu nigdy. System kanałów irygacyjnych nie wystarcza do nawodnienia pól. Aby zatrzymać na nich dłużej wilgoć, przez całą zimę budowało się wały śniegu na polach. Każdy wał musiał mieć 75 cm wysokości i 15 m długości.

Kiedy któregoś dnia, przy wieczornym sprawdzaniu obecności wyczytano moje nazwisko z przeznaczeniem na śnieg, nie warto było nawet protestować.

Wychodziło się już na te roboty przed świtaniem. Kwadrans przed czwartą budzono nas w baraku.

„Zatrzymywacze śniegu, wstawać, wstawać”.

Ubierałyśmy się w kompletnej ciemności, szłyśmy po chleb i na śniadanie – zawsze ta sama odrobina kaszy na dnie miski i kubek gorącego wywaru, zwany szumnie „kawą”. Potem długo stałyśmy przed bramą, zanim nadszedł konwój i poprowadził nas na robotę. Szło się od pięciu do dziesięciu kilometrów gęsiego, jedna za drugą, codziennie na nowo wydeptując ślad w głębokim śniegu, co noc zasypywany przez „buran”. Wreszcie, już bardzo zmęczone, przybywałyśmy na przeznaczony na ten dzień odcinek. Zaczynała się praca, z której zabierano nas już po zachodzie słońca.

Budowanie tych wałów śnieżnych wymagało specjalnej techniki. Dopóki się jej nie zdobyło, próżno było marzyć o zrobieniu normy, która wynosiła dwadzieścia dwa wały na dzień pracy. Tajemnica efektywnej pracy polegała na wycinaniu jak największych brył śniegu łopatą i ustawianiu ich jedna za drugą. Tylko w ten sposób praca szła szybko.

Bryły były bardzo ciężkie. Dźwiganie ich powodowało ustawiczny ból w krzyżu. Przestać pracować nie można było ani na chwilę, bo od razu odmrażało się policzki, nosy, ręce. Łzy wyciskane przez wiatr zamrażały na twarzy. Nigdy nie przestałam bać się tej roboty. Codziennie koło południa wiatr i zadymka wzmaczały się. Dni cichych prawie nie było. Wiatr gnał po zamrażonym stepie nieskończone sznury kręcone ze śniegu, związał je w pasma, wiry, prądy. Szmer i szelest tej białej masy doprowadzały mnie do szału. Gdzieś daleko, zaledwie widoczna w tym chaosie, majaczyła figurka sąsiedniej robotnicy. Porozumieć się nie było sposobu, raz po raz nikła mi z oczu. Jakież nieskończenie długi wydawał się lodowaty dzień. Gdy wreszcie po potwornym dniu wracało się do baraku w odzieniu zeskorupiałym na lód, którego przez noc nie można było nawet wysuszyć i zjadało kilka łyżek gorącej zupy, nawet w nocy nie mogłam zasnąć ze strachu przed męką następnego dnia.

A tymczasem czas płynął nieubłaganie. W całym wielkim baraku i w całym obozie zostały nas tylko dwie Polki, coraz bardziej znienawidzone przez Rosjanki triumfujące, że przecież nas nie wypuszczono.

Tak nadeszło Boże Narodzenie 1941.

Przyjaciele niedoli

Byłoby niesprawiedliwe, gdyby nie wspomnieć tych nielicznych kobiet sowieckich, wśród których znalazło się trochę serca i zrozumienia. Taka była moja koleżanka z ambulatorium, Gertruda. Co prawda nie była ona Rosjanką – była Holenderką. Kiedyś, jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, poznała ona w rodzinnej Hadze młodego rosyjskiego studenta. Z wielkiej miłości wynikło małżeństwo. W ciągu kilku lat po wojnie mieszkali w Holandii, następnie jednak mąż Gertrudy zaczął marzyć o powrocie do Rosji. Był inżynierem, żadnych win w stosunku do rządu sowieckiego nie miał. W owym okresie ściągano chętnie do Związku Sowieckiego wszelkich specjalistów z Europy i Ameryki, obiecując im złote góry i zaszczyty za pomoc w chwalebnym

dziele budownictwa socjalistycznego. Zdecydowali się więc i razem z córką wyjechali do Rosji. Od początku warunki ich życia były bardzo ubogie. Przyzwyczajonym do kultury materialnej Holandii poziom życia w Rosji wydawał się niestychanie niski. Wkrótce też zorientowali się, że lekko-myślnie postąpili przyjmując obywatelstwo sowieckie, które odcięło im drogę powrotu. Gertruda starała się pogodzić z losem. Wychowywała córkę, pracowała w różnych sowieckich instytucjach, szło im raz lepiej, raz gorzej. Nie pozwalali sobie na żadną krytykę, unikali wszelkich przyjaźni i znajomości. Tak nadszedł rok 1936 i pierwsza fala aresztowań „szpiegów trockistowskich”. Aresztowano męża Gertrudy, a w miesiąc później i ją samą. Co się z nim stało nie dowiedziała się nigdy. Ona została skazana na pięć lat. Termin jej kary upływał za parę miesięcy. Mimo to nie miała wielkiej nadziei na powrót do domu i zobaczenie córki. „Zobaczysz – mówiła – wymyślą jeszcze cokolwiek i dodadzą mi drugie pięć lat. Stąd się już nie wychodzi, chyba tam, do trupiarni”.

Oprócz Gertrudy miałam jeszcze dwie inne sowieckie przyjaciółki – Japonkę i Gruzinkę. Japonka nazywała się zresztą Katia, bo nikt nie znał jej właściwego imienia Inome, co znaczy po japońsku fala. Nie umiała ani słowa po japońsku i nie знаła Japonii. W 1905 roku, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej oficerowie rosyjscy znaleźli w opuszczonej chacie w Mandżurii czteromiesięczne niemowlę. Zabrali je ze sobą do Rosji i została córką pułku. Aż do rewolucji łożono na jej wykształcenie. Nie znała rodzinnego ciepła, ale i nikt jej nie krzywdził. Już po rewolucji poznała młodego sowieckiego aktora, pobrali się, przyszło na świat dziecko, a później fala aresztowań zagarnęła ich oboje. On został rozstrzelany – nie wiedziała za co, ona dostała osiem lat, jako „żona wroga ludu” oczywiście. Drobną, skośnooką kobietką żyła tylko nadzieją na odnalezienie dziecka, które żyło i pisywało do niej. Posyłano ją na najcięższe roboty. Nigdy nie starała się zrobić normy, niemożliwej na jej słabe siły. Twierdziła, że głód po tylu latach już nie jest taki przykry, człowiek się przyzwyczaja. Nigdy nie kradła.

„Nie myśl, że ja uważam to za nieuczciwe, ja po prostu jestem zanadto nieczarna, nie potrafię” – twierdziła.

Katia nie była nigdy komunistką. Miała wiele sympatii dla Polski. Obiektywnie oceniała międzynarodowe zjawiska. Nietrudno się było z nią porozumieć. Nieraz wieczorem, gdy zachodziłam do niej, widziałam jak chaszcząc swoje ogromne, czarne włosy wpatruje się w fotografię syna. Uśmiechała się na mój widok i wyciągała z woreczka kawałek chleba. „Zjedz – mówiła – ja naprawdę nie jestem głodna. Ty jesteś taka duża, musisz więcej jeść”.

Gruzinka nazywała się Liziko. Miała 35 lat, a została aresztowana po raz pierwszy, gdy miała lat 18, za przynależność do Socjalistycznej Partii Gruzji. Po dwóch latach zwolniono ją i po jakimś czasie skazano ponownie na lat pięć tym razem. Po odbyciu kary parę lat była na wolności i aresztowana w 1938 roku otrzymała wyrok na lat osiem. Z 35-ciu więc przeżytych lat, piętnaście przypadło na więzienie. Ogromnie inteligentna, czytana, nieustępliwa i nie wypierająca się swoich socjalistycznych przekonań, Liziko była bardzo źle widziana w obozie.

„Zdaję sobie sprawę z tego, że nie wyjdę stąd żywa – mówiła spokojnie. To zresztą jest zrozumiałe. Po cóż żywić wrogów, co do których nie ma nadziei, że się ich wykorzysta do swoich celów”.

Wszystko, co ją spotkało znosiła bez szemrania, ale raz zobaczyłam ją zapłakaną. Pracowała wtedy razem ze mną przy prasowaniu. W porównaniu z robotą na śniegu było to wytchnienie. Spytałam, co się stało?

„Wiesz, znowu przyszedł na mnie okres halucynacji – odpowiedziała niechętnie Liziko. Czasem to mam. Wtedy ciągle mi się zdaje, że znowu jestem na śledztwie w celi, w Tyfilisie, że znowu bije mnie własnoręcznie ten... Narkom Gruzji. Pomyśl, jaka hańba, jaki wstyd, mnie – słabą kobietę bije ten dygnitarz, rodak, Gruzin, dawny socjalista. To jest tak realne, że widzę jego twarz, słyszę, jak mówi, żeby mnie trzymano, widzę ściany celi. Jak to na mnie przychodzi, nie mogę wytrzymać”.

Początkowo nie rozumiałam, bo i kogóż właściwie nie bito? Nie warto ani wspominać, ani się rozczulać, ale później pojąłam. To nie wspomnienie razów i bólu dręczyło Lizikę; ona płakała na wspomnienie hańby, że bił ją rodak, Gruzin, socjalista.

Po raz drugi nie rozumialiśmy się w dniu wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Przybiegłam do niej.

„Liziko, ach żebyż oni wyniszczyli się tak, żeby kamień na kamieniu nie został, żeby nie zostało ani jednego hitlerowca, ani jednego bolszewika. Niech się pozjadają tak, żeby im ogony nawet nie zostały” – powiedziałam z pasją.

„Słuchaj – odpowiedziała Gruzinka – teraz musimy zapomnieć o wszystkim, cośmy tu wycierpiały. Musimy życzyć zwycięstwa Stalinowi, który przyniesie światu wybawienie. Hitler jest wrogiem ludzkości. Bądź co bądź, w porównaniu z Niemcami, Związek Sowiecki to demokracja”.

Patrzyłam na nią zupełnie osłupiała. A więc jednak i w tej niezależnej z pozoru duszy tkwiło odwieczne rosyjskie zakłamanie, które kazało wszystkim tym cierpiącym niewinnie milionom przyznawać się do nie popełnionych win, gorzko za nie żałować i na każdym miejscu i o każdej porze głosić, że Stalin i Partia zawsze postępują słusznie, a zatem słuszne jest więzienie, słuszne wszystko, co je spotyka. Zjawisko nigdzie na świecie nie spotykane.

Wolność

W dzień wigilijny 1941 r. poszłam z rana do ambulatorium, do lekarki i zapowiedziałam jej, że na robotę nie pójdę i żeby zwolniła mnie pod jakim chce pozorem. Oczywiście o obchodzeniu jakichś świąt religijnych nie ma mowy w Rosji nawet na wolności, a tym bardziej w łagrze, toteż lekarka początkowo nawet słyszeć o zwolnieniu nie chciała. Ostatecznie jednak wypisała mi jakieś gwałtowne niedomaganie w księdze zwolnień. Wróciłam więc do baraku aby spędzić ten dzień z Wandą, która po oberwaniu sobie nerki wskutek dźwigania ciężarów, została wyznaczona do sprzątania baraku wewnątrz. Cały dzień kombinowałyśmy, jak z kubka suchego grochu, odrobiny ziaren pszenicy i dwóch kawałków cukru (skarb chowany od zeszłego lata), zrobić kolację. Wreszcie zagotowałyśmy to wszystko.

Zapałł mrok, barak był prawie pusty. Wpakowałyśmy się na nasze nary na drugim piętrze. Jak kiedyś, w dawnych,

nierealnych czasach wolności, czekałyśmy na pierwszą gwiazdkę.

„Gdzie Anna?” – usłyszałam nagle głos starszej naszego baraku.

„Tu, o co chodzi?”

„Anno, mam dla was dobrą wiadomość. Jesteś wolna” – zawołała pocziwa kobieta podbiegając do naszego legowiska.

„A Wanda?” zapytałam z niepokojem.

„Wanda jeszcze nie, ale nie martwcie się, jej zwolnienie na pewno lada dzień nadejdzie”.

Nic nie odpowiedziałyśmy – płakałyśmy obie.

Upłynęły dokładnie dwa lata od chwili mego aresztowania w dzień wigilijny 1939 roku.

Nika KŁOSOWSKA-WOHLMAN
